

Kim jesteś obywatelu?

Kim jesteś obywatelu?

Materiały z konferencji Zakładu Praw Człowieka
Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego,
która odbyła się 26 kwietnia 2007 roku.

Pod redakcją
Mirośława Wyrzykowskiego



ZAKŁAD PRAW CZŁOWIEKA
WPiA UW

Warszawa 2008

Zakład Praw Człowieka
Wydział Prawa i Administracji
Uniwersytet Warszawski
Collegium Iuridicum III
ul. Oboźna 6/8
00-325 Warszawa

Redaktor i korekta
Ewa Wośik

Korekta
Anna Hara

Skład i łamanie
Dariusz Górski

Projekt okładki
Jacek Brozowski

© Copyright by the Authors
Warszawa 2008

ISBN 978-83-926743-3-7

Druk i oprawa: Zakład Graficzny UW. Zam. 1019/08

Spis treści

Wprowadzenie (<i>Mirostaw Wyrzykowski, Tadeusz Tomaszewski</i>) . . .	7
<i>Andrzej Friszke</i> – Redakcja „Więzi” z 1977 roku na temat praw człowieka	13
<i>Jerzy Ciemniowski</i> – Władza wykonawcza a status obywatela . . .	25
<i>Roman Wieruszewski</i> – Standardy międzynarodowe i konstytucyjne praw człowieka	31
<i>Aleksander Hall</i> – Kilka refleksji nad problemami polskiego obywatela oraz nad tym, czego potrzeba Polsce	43
<i>Roman Graczyk</i> – Autentyczność – Tadeusz Mazowiecki: krótka biografia polityczna i intelektualna (Kim jest człowiek, który 18 lat temu został pierwszym antykomunistycznym szefem rządu w krajach bloku wschodniego?)	49
Dyskusja (<i>Andrzej Wielowieyski, Ewa Łętowska, Andrzej Murzynowski, Hanna Machińska, Tomasz Koncewicz, Monika Płatek, Piotr Winczorek, Krzysztof Rączka, Michał Ziółkowski, Wojciech Tygielski</i>)	67
Podsumowanie (<i>Tadeusz Mazowiecki, Mirostaw Wyrzykowski</i>) . . .	86
<i>Mirostaw Wyrzykowski</i> : Laudacja na cześć T. Mazowieckiego w związku z przyznaniem tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego	90

Tadeusz Mazowiecki – Kim jesteś obywatelu. 99
Informacje o autorach108

Wprowadzenie

Mirośław Wyrzykowski

Tytuł dzisiejszej konferencji, *Kim jesteś, obywatelu?* – która odbywa się dla uczczenia 80-ej rocznicy urodzin Tadeusza Mazowieckiego – jest przejętym tytułem wykładu, który pan premier Tadeusz Mazowiecki wygłosił 22 czerwca 2003 roku w związku z nadaniem mu tytułu doktora honorowego Uniwersytetu Warszawskiego.

Witam wszystkich przybyłych na konferencję, a szczególnie serdecznie – pana Tadeusza Mazowieckiego. Proszę o zabranie głosu pana profesora Tadeusza Tomaszewskiego, dziekana Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

Tadeusz Tomaszewski

W imieniu władz Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego przypada mi zaszczyt współotwarcia konferencji: *Kim jesteś, obywatelu?*, zorganizowanej przez Zakład Praw Człowieka. Pan profesor Mirośław Wyrzykowski już powitał naszego najważniejszego gościa, ale nie mogę się powstrzymać od tego, aby w imieniu Wydziału Prawa i Administracji powitać dostojnego jubilata, pana premiera Tadeusza Mazowieckiego – doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego, niestrudzonego obrońcę praw człowieka, jednego z głównych twórców przemian demokratycznych w Polsce,

studenta i przyjaciela naszej uczelni, a także naszego wydziału. Panie Premierze, w imieniu społeczności akademickiej całego Wydziału Prawa i Administracji proszę przyjąć słowa najwyższego szacunku. Jest dla nas wielkim wyróżnieniem, że mamy możliwość wspólnego świętowania Pańskiego jubileuszu najlepiej, jak potrafimy – dyskutując o przyszłości naszego kraju, budowie społeczeństwa obywatelskiego, szansach i zagrożeniach, jakie się pojawiają przed polską demokracją. Chciałbym także wyrazić podziękowania organizatorom konferencji, a zwłaszcza panu profesorowi Mirosławowi Wyrzykowskiemu – kierownikowi Zakładu Praw Człowieka – który podjął się organizacji tego spotkania, dobierając niezwykle trafnie jego temat, a przede wszystkim gromadząc grono znakomitych dyskutantów, których serdecznie witam. Dziękuję również patronom medialnym dzisiejszego przedsięwzięcia: „Gazecie Wyborczej”, „Tygodnikowi Powszechnemu”, Radiu TOK FM, a także Stowarzyszeniu Absolwentów Wydziału Prawa i Administracji.

Konferencja ta jest wyjątkowa, tak jak wyjątkowa jest osoba naszego Drogiego Jubilata. To jego obecność zgromadziła nas dzisiaj w murach Uniwersytetu Warszawskiego, abyśmy mogli podziękować mu za ogromne poświęcenie oraz zaangażowanie w budowę demokratycznego państwa prawnego. Proszę pozwolić, iż zamiast tradycyjnego wprowadzenia odczytam list, który w imieniu całej społeczności naszego Wydziału skierowałem do pana premiera Tadeusza Mazowieckiego z okazji jego osiemdziesiątych urodzin.

*Pan Tadeusz Mazowiecki, Doktor Honoris Causa
Uniwersytetu Warszawskiego*

W imieniu Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego – jego wszystkich pracowników, doktorantów, studentów oraz swoim własnym – pragnę złożyć Panu Premierowi najserdeczniejsze życzenia z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin. Dla całej naszej społeczności jest to okazja, aby wyrazić swój szacunek i uznanie dla wybitnego człowieka, męża stanu, niestrudzonego obrońcy praw człowieka. Postawa życiowa i osiągnięcia Pana Premiera stanowią dla nas przykład, jak – niezależnie od czasów, w jakich przychodzi nam żyć i działać – niezłomnie walczyć o wolność i godność człowieka. Działalność w Klubie Inteligencji Katolickiej, Kole Poselskim „Znak”, udział w opozycji demokratycznej, wieloletnie zaangażowanie na rzecz ruchu „Solidarność” czy wreszcie reformy, jakie rozpoczął kierowany przez Pana Premiera gabinet – wszystkie te wydarzenia, choć z pozoru tak różne, łączy głębokie podobieństwo prowadzące do podstawowych wartości związanych z troską o dobro wspólne i los człowieka, budową demokratycznego państwa oraz społeczeństwa obywatelskiego. Będąc jednym z twórców bezkrwawej rewolucji, dla naszej społeczności pozostaje Pan Premier symbolem mądrości i kultury politycznej, orędownikiem pojednania i przebaczenia, na których budować można zręby nowoczesnego państwa. Środowisko prawnicze jak żadne inne jest w stanie docenić fundamentalne znaczenie parlamentarnej zmiany ustrojowej, jaka dokonała się w roku 1989, i którą ostatecznie ugruntowała Konstytucja RP z roku 1997, której preambuła w sposób tak wyważony, a jednocześnie trafny, wskazuje podstawowe założenie aksjologiczne, na jakim chcemy budować nasze struktury państwowe. Pragnę podkreślić, że postawa Pana Premiera i jego działalność miały nieoceniony wpływ na sposób postrzegania rzeczywistości przez wielu z nas, inspirując refleksję nad rolą środowisk naukowych w różnych okresach historii naszego państwa. Życie i działalność Pana Premiera są dla nas lekcją

przypominającą nam o wartościach, które musi brać pod uwagę prawnodawca, dbając o duchowy i materialny rozwój społeczeństwa.

Szanowny Panie Premierze, proszę przyjąć życzenia wielu dalszych lat w zdrowiu i pomyślności z okazji dzisiejszego święta oraz gratulacje od całego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

Ad multos annos!

Popisałem ten list w imieniu Wydziału Prawa i Administracji w dniu 18 kwietnia 2007 roku. Pozwólcie Państwo, że teraz w imieniu Wydziału, a także w imieniu nas wszystkich tu obecnych, wręczę panu premierowi wiązanek kwiatów, które nie przypadkiem są biało-czerwone.

KIM JESTEŚ, OBYWATELU?

Redakcja „Więzi” z 1977 roku na temat praw człowieka

Od 8 do 16 listopada 1977 roku w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej, przy ulicy Kopernika 34, odbywała się sesja poświęcona prawom człowieka, której organizatorem był Tadeusz Mazowiecki. Dziewięciu referatów oraz dyskusji panelowej wysłuchało kilkuset członków Klubu, studentów, współpracowników Komitetu Obrony Robotników, niezależnych intelektualistów.

Zwróćmy uwagę na datę tego spotkania: w rok po utworzeniu Komitetu Obrony Robotników, w rok przed wyborem Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, niemal trzy lata przed Sierpniem i blisko dwadzieścia lat po utworzeniu przez Tadeusza Mazowieckiego miesięcznika „Więź”.

Sesja była ważnym wydarzeniem ideowym i politycznym. Stanowiła podsumowanie dotychczasowej linii ideowej „Więzi” oraz była zapowiedzią dalszej drogi, która prowadziła ku horyzontom, jakich nikt wówczas nie mógł sobie nawet wyobrazić.

„Zamierzeniem naszym była zarówno refleksja nad rozumieniem praw człowieka, ich źródeł, sensu i znaczenia, jak i podejmowanie spraw związanych z walką o urzeczywistnienie tych praw” – pisał Tadeusz Mazowiecki do prymasa Stefana Wyszyńskiego, przesyłając mu teksty referatów. Wygłosili je m.in. Jan Strzelecki, Jerzy Jedlicki, Jakub Karpiński, Henryk Woźniakowski i Stanisława Grabska – wybitni intelektualiści poczuwający się do różnych tradycji ideowych, których jednak łączyła wspólna płaszczyzna: uznanie znaczenia praw człowieka oraz wola ich obrony.

Pojęcie „prawa człowieka” nie od razu występowało w esejach Mazowieckiego. Od wielu lat podstawowym dla niego pojęciem była natomiast „podmiotowość” – słowo bliskoznaczne, podkreślające, że człowiek jest podmiotem w życiu społecznymi i w kulturze, a z tego względu należą mu się szczególne prawa w ramach porządku społecznego. Tadeusz Mazowiecki zawsze uważał, że człowieka nie można też oddzielać od wartości, ponieważ on sam jest wartością i niesie ze sobą określone wartości. Chrześcijanin natomiast nie powinien się zamykać w przekonaniu o posiadaniu wyłączności własnej racji i negacji wartości odmiennych.

W 1962 roku, zwracając się do agnostyka, Mazowiecki pisał: „Pan i ja możemy albo godzić się na kredowe koła, którymi oddzielają się obszary polskiej kultury, albo czynić wszystko, aby je przekraczać. Otwartość wzajemna nie jest gestem, ale zasadą jedności i demokratycznego rozwoju społeczeństwa, w którym są i będą różnice filozoficzne. Klimat dialogu nie jest postulatem wyrażającym dobre chęci, ale jest warunkiem rozwoju kultury”.

Podstawowym pojęciem był zatem „dialog”, który Mazowiecki postrzegał następująco: „Dialog polega na przekazywaniu sobie wartości. Dialog ma zatem miejsce wtedy, kiedy zakłada wprost lub pośrednio gotowość do wnikięcia w odmienne racje i w odmienną perspektywę myślenia, tzn. kiedy zakłada otwartość na tkwiące w odmiennych stanowiskach wartości. Dialog jest gotowością do dawania wartości, a dawanie jest przeciwieństwem narzucania, podporządkowania sobie. Dialog nie jest równoznaczny z kompromisem, rezygnacją z własnego stanowiska, nie zmniejsza napięcia sprzeczności, lecz stanowi wysiłek odkrycia jakby innego wymiaru spraw, z którymi można się spotkać. I współdziałanie społeczne oparte na dialogu tym się różni od każdego innego typu współdziałania między ludźmi, że odwołuje się do wartości.

Autentyczny dialog musi zakładać, że w postawie przeciwnej jest nie tylko coś, co należy uszanować, ale w czym mogą odkryć jakieś i dla mnie przeznaczone wartości. Musi on także zakładać, że

wzajemne oddziaływanie prowadzi do tworzenia nowych wartości, które wzbogacają ludzkie poznanie, kulturę, społeczną rzeczywistość. W dialogu odnoszącym się do płaszczyzny poznania jest to przekroczenie monopolistycznego stosunku do prawdy, a więc ze strony chrześcijan uznanie humanistycznych wartości tworzonych poza kręgiem religijnej inspiracji, uznanie ludzkich wartości kultury laickiej, wnikięcie w perspektywę myślową problemów przez nią stawianych.

Analogicznego stosunku wymaga postawa niewierzących. Dotyczy to przede wszystkim dostrzegania twórczych możliwości kultury sięgającej do źródeł inspiracji religijnej. W dialogu, w płaszczyźnie działania założyć trzeba gotowość uznania pewnego zakresu wartości społeczno-moralnych zawartych w odmiennym stanowisku światopoglądowym oraz możliwość określenia wspólnej płaszczyzny dążeń społecznych”.

Przytoczone słowa, napisane na początku lat sześćdziesiątych, wyznaczały linię programową udziału Tadeusza Mazowieckiego w życiu publicznym, w tym zwłaszcza sens dialogu ze środowiskami inteligencji lewicowej czy liberalno-lewicowej.

Droga prowadząca do współdziałania w tak ważnych dla Polski latach była poprzedzona nie tylko refleksją intelektualną, ale także praktycznym świadectwem wyznawanych wartości. Trzeba tu wspomnieć zwłaszcza marzec 1968 roku, który był nie tylko erupcją propagandy i postaw radykalnie przeciwstawnych pojęciom związanym z prawami człowieka, ale także próbą zmarginalizowania humanistycznych tradycji polskiej lewicy.

Postawa Tadeusza Mazowieckiego wobec tych wydarzeń była czytelna i oczywista. Na łamach „Więzi” zaczęli publikować intelektualiści, których z pewnością nie można zaliczyć do twórców katolickich, ale w pojawili się katolickim miesięczniku, bo zostali zepchnięci przez rządzącą partię na margines czy wręcz skazani na milczenie. Płaszczyzną spotkania i dialogu była wspólna obrona wartości humanistycznych, podmiotowości oraz praw człowieka.

Przypomnijmy niektóre z tych nazwisk: Jan Strzelecki, Jerzy Jedlicki, Krzysztof Pomian, Janina Zakrzewska, Jan Józef Lipski, Jakub Karpiński, Adam Michnik.

W eseju pod znamienym tytułem *Powrót do najprostszych pytań* Mazowiecki pisał: „Zawsze oportunizm odróżniać się będzie od nonkonformizmu, wolność od przymusu, nierówność i przywileje od egalitaryzmu, etnocentryzm plemienny od otwartości na powszechną ludzką wspólnotę, stawianie na twórczy rozwój człowieka od usypiania go, by nie czuł się odpowiedzialny”.

Tędy przebiegały wybory Solidarności, które były zarówno wyborami tradycji, wyborami nawiązań, jak i wyborami postawy. Nadszedł znamieny, najważniejszy dla dalszych przemian rok 1976. Równoległe ze słynnym „Listem pięćdziesięciu dziewięciu”, stworzonym przez przyszłych założycieli KOR-u, Mazowiecki wraz z innymi przywódcami protestował przeciw wpisaniu do Konstytucji PRL słynnych poprawek o kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Potem udzielił wywiadu dla „Frankfurter Allgemeinezeitung”, w którym wymienił katalog minimalnych, a niezbędnych reform, w tym konieczność odgrywania niezależnej roli przez związki zawodowe.

W maju 1977 roku, gdy przywódców KOR-u uwięziono, Mazowiecki był rzecznikiem osób głodujących w ich obronie w kościele Św. Marcina. W listopadzie tego samego roku w Klubie Inteligencji Katolickiej odbyła się debata poświęcona prawom człowieka, podczas której Mazowiecki wystąpił dwukrotnie. Jego referat otwierający debatę, zatytułowany *Chrześcijaństwo a prawa człowieka*, był obiektywną próbą ukazania tematu w jego złożoności historycznej i teologicznej. Autor zwrócił uwagę, iż obecne pojmowanie wolności w życiu publicznym i postrzeganie praw człowieka są wynikiem procesu historycznego. W pewnych okresach historia ludzkiej wolności kształtowała się przeciw chrześcijaństwu. Niemniej to właśnie chrześcijaństwo wpisało w ludzki los miarę godności człowieka (rozdzielenie tego, co boskie od tego, co cesarskie), a doświadczenia

religijne stworzyły podstawy wolności wewnętrznej, która stanowi rdzeń kultury.

Chrześcijaństwo – ujmując człowieka jako osobę stworzoną przez Boga na jego obraz, wolną i odpowiedzialną – wywodzi godność i prawa człowieka z tego źródła, z wyjątkowej pozycji człowieka w naturze, której jest on częścią, i którą równocześnie przekracza. Niezbywalność i nienaruszalność podstawowych praw człowieka zawarta jest więc, według chrześcijaństwa, w najgłębszej tajemnicy jego bytu. Oświeceniowa filozofia prawa natury, z której wyrosła Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, szukała inspiracji w przyrodzonych prawach gatunku ludzkiego. Dawła uzasadnienie wolności obywatelskiej i równości wobec prawa, nie troszcząc się jednak o więcej. Konflikt z Kościołem miał podłoże zarówno polityczne (sojusz ołtarza z tronem), jak i doktrynalne (sprzeciw wobec oświeceniowej wiary w nieograniczone możliwości ludzkiego rozumu). Trwający wiele dziesięcioleci konflikt między chrześcijaństwem a tradycją laicką powodował eskalację oskarżeń i narastanie poczucia wzajemnego zagrożenia. Ów konflikt zaczął się zmniejszać wskutek doświadczeń historycznych, szukania przez Kościół odpowiedzi na dręczące problemy społeczne, grozę wojen światowych, wskutek sprzeciwu wobec totalitaryzmów, ale także w wyniku weryfikacji zbyt łatwego optymizmu wiary w ludzki rozum i postęp, docenienia w człowieku tego, co kruche.

Mazowiecki cytował dokumenty Kościoła w tym encyklikę: *Pacem in terris*, nazywając ją „*Magna Charta* chrześcijańskiego ujęcia praw człowieka”. Zwracał uwagę, że w chrześcijaństwie perspektywa postrzegania wolności oraz praw człowieka była i pozostaje związana z wizją ładu moralnego, w którym osadzony powinien być człowiek. Chodzi nie tylko o „wolność od”, ale przede wszystkim o „wolność do”, a więc także o obowiązki, które odpowiadają prawom, gdyż prawa każdego człowieka są ograniczone takimi samymi prawami innych i ład zbiorowy musi się opierać na poszanowaniu tego faktu. Istnieje zasadnicza sprzeczność między chrześcijaństwem a totali-

tarnym dążeniem do omnipotencji, które zwraca się przeciw samej zasadzie wewnętrznej wolności ludzkiej. Granicę tę zakreślają prawa człowieka. Chrześcijanin może o nie walczyć lub służyć ich realizacji w różny sposób. „Nie może tylko jednego: tam, gdzie istnieje przygniecenie wolności i godności ludzkiej, i gdzie człowiek przeciw temu się prostuje – pozwalać sobie na gest Piłata”.

Opinie i oceny wypowiedziane przez Mazowieckiego nie spotkały się z polemiką, ale zostały uzupełnione lub wzbogacone o inną perspektywę w kolejnych referatach.

Jakub Karpiński wskazał na różnicę rozumienia bądź ujęcia praw człowieka w prawie stanowionym, w dokumentach Kościoła oraz w deklaracjach międzynarodowych – takich jak Pakty Praw Człowieka czy Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie – oraz na związane z tym komplikacje.

Koleje liberalnej koncepcji praw człowieka niezwykle sugestywnie i dramatycznie przedstawił Jerzy Jedlicki. Wskazał na ograniczoność perspektywy filozofów oświeceniowych, którzy nie zauważyli konfliktowości wartości. Kiedy się o tym (nieraz boleśnie) dowiedzieli, jedni pozostali pod sztandarem wolności, inni – pod sztandarem równości, braterstwo pozostawiając franciszkanom. Uwolniona od ograniczeń idea wolności prowadziła do pogłębiania podziałów społecznych. Zrodziła armię wyzutych z praw, którzy stali się podatni albo na ekstremalne idee równości znoszącej wolność, albo na propozycję ucieczki od wolności na rzecz uznania jednej idei i jednego autorytetu.

Po tych tragicznych doświadczeniach współczesny liberalizm stał się sceptyczny i ostrożny: „nie wierzy w szczęśliwe Atlantydy przyszłości ani w uniwersalne recepty ziemskiego zbawienia. Troszczy się raczej o to, by choć odrobinę zmniejszyć sumę nieszczęścia, zła i krzywdy”. Wie, że nie ma nic groźniejszego niż „totalny tryumf jakiegokolwiek jednej zasady”. Potęgę współczesnego państwa ogranicza przez władzę nad nim narodu, rozwój samorządów i dobrowolnych zrzeczeń oraz autonomię jednostki.

Fundament wszystkich praw człowieka i obywatela – kontynuował Jedlicki – stanowią dwie zasady: osobistego bezpieczeństwa oraz swobody wypowiedzenia przekonań. Bycie liberałem oznacza więc zgodę w kwestii tych podstawowych zasad, określenie warunków niezbędnych do tego, aby można było mówić o świadomej działalności i odpowiedzialności człowieka.

Wydarzeniem szczególnym, zamykającym konferencję, była dyskusja okrągłego stołu z udziałem Jerzego Turowicza, Bohdana Cywińskiego, Andrzeja Grzegorzcyka, Adama Stanowskiego i Tadeusza Mazowieckiego. Wszyscy oni reprezentowali nurt katolicyzmu skupionego w środowisku „Znaku”, a ich głosy były względem siebie komplementarne. Wyjątek stanowiła wypowiedź profesora Grzegorzcyka, który uznał, że postawa chrześcijańska zamyka się w kontemplacyjnym stosunku do Boga oraz życzliwości wobec każdego człowieka. A więc, jak mówił: „Ważniejsze jest, aby każdy człowiek umiał cierpliwie znosić złe rządy niż żeby miał energię do ich zmiany. Poprawianie tego świata jest właściwie beznadziejne”. Opinia ta wzbudziła stanowczy sprzeciw pozostałych uczestników dyskusji. Profesor Stanowski stwierdził, że według niego ulubionym tworem Bożym jest wolność, i to w takim stopniu, iż każde działanie ludzkie ma wartość w oczach Boga o tyle tylko, o ile jest działaniem wolnym. Toteż obowiązkiem chrześcijańskim jest czynne działanie w ramach praw człowieka.

Jerzy Turowicz zdeklarował się jako zwolennik radykalnego antropocentryzmu w ramach teocentryzmu. Stworzony przez Boga człowiek jest przecież panem świata, a więc i państwo powinno służyć człowiekowi. Człowiek jest też podmiotem historii, on ją tworzy. Prawa społeczne, a także prawo do zaspokajania podstawowych potrzeb biologicznych przysługują człowiekowi w sposób nieodzowny. Podstawowe jednak są prawa człowieka: wolność myśli, przekonań, opinii, w tym wolność religijna oraz wolność demokratyczna, tzn. możliwość kształtowania swojego losu.

Stanowczo zabrzmiał głos Bohdana Cywińskiego: „Chcąc odzyskiwać prawa człowieka, nie wolno czekać ich nadania przez jakąkolwiek władzę. Należy natomiast stawać jako podmiot w życiu publicznym i zachęcać innych do takiego stawania. Stworzył mnie Bóg osobą – osobą wobec Niego, ale i wobec ludzi i instytucji, wobec władzy i wobec prześladowcy. Gdybym z dochodzenia swych praw osoby wobec tych wszystkich instytucji zrezygnował, byłoby to świadectwo zdecydowanie antychrześcijańskie. Kościół winien być wychowawcą, adwokatem i ratownikiem tych wszystkich, którym odmawia się praw człowieka”.

Adam Stanowski stwierdził, że najgorszą zdradą, jakiej mogliby się dopuścić chrześcijanie wobec praw człowieka, byłoby uzyskanie dla siebie pewnych przywilejów w ramach systemu ograniczenia prawa innych ludzi. Istniejący w PRL przywilej posiadania własnej prasy jest usprawiedliwiony udostępnianiem jej łamów dla osób wyznających inne przekonania, a nie mających możliwości ich wyrażania. Powinnością naszego działania na rzecz praw człowieka powinno być przyjęcie zwyczaju jawnej, publicznej realizacji praw tam, gdzie jest to fizycznie możliwe.

Te słowa, podobnie jak cytowana wcześniej wypowiedź Bogdana Cywińskiego, były deklaracją poparcia dla koncepcji działania demokratycznej opozycji. Jest więc zrozumiałe, że zarówno Stanowski, jak i Cywiński oraz Mazowiecki znaleźli się w gronie twórców Towarzystwa Kursów Naukowych oraz publicystów tworzącej się prasy drugiego obiegu. W wypowiedzi Stanowskiego zwraca uwagę jeszcze jeden wątek: „Chrześcijanin nie może sobie pozwolić na postawę nienawiści, odmowy człowieczeństwa wobec naszego prześladowcy. Powstrzymywać się od tego nie jest rzeczą łatwą, obawiam się jednak, że tutaj dopiero się zaczyna i [do tego się] sprowadza nasze chrześcijaństwo”. Stwierdził ponadto, iż „Nasze działanie powinno być adresowane również do sprawców naruszania praw człowieka, nie wolno odmawiać im szansy zobaczenia tej sytuacji w prawdzie.

To, że nikt nie może być tej szansy pozbawiony jest dla chrześcijanina kwestią wiary”.

Wypowiedź Tadeusza Mazowieckiego miała charakter podsumowania, ale zawierała także przesłanie dotyczące ruchu rewindykacji praw człowieka w Polsce. Przyszły premier przypomniał, że chrześcijanin nie może sobie pozwolić na gest Piłata. Skrytykował „myślenie zasłanowe”, wedle którego chrześcijanie nie muszą być aktywni, bo Kościół instytucjonalny „za nas mówi i się upomina”. Trzeba być dumnym, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat Kościół w niektórych okresach był jedynym obrońcą wolności i godności ludzkiej oraz że w jego wystąpieniach dominuje ton obrony nie własnych spraw instytucjonalnych, ale praw człowieka w ogóle. Niemniej bardzo by się nam przydało nieco więcej poczucia własnej, indywidualnej odpowiedzialności. Zwracając się nie tylko do katolików, ale do wszystkich walczących o prawa człowieka, Mazowiecki pytał, jaki zakres ma ta rewindykacyjna walka oraz wskazywał, że tworzą ją dwa obszary działań: (a) protest, demaskowanie nadużyć i deptania praw człowieka oraz domaganie się ich przywrócenia, a także (b) tworzenie społecznej infrastruktury praw człowieka. Odwoływał się do używanych w języku niemieckim pojęć *Grundrechten* (podstawowe prawa) i *Grundwerten* (podstawowe wartości). Te pierwsze każde demokratyczne państwo musi zapewnić. Te drugie – musi szanować, umożliwiając różnym strukturom i stowarzyszeniom swobodę dobrowolnego uczestnictwa w procesie, który owe podstawowe wartości wytwarza i podtrzymuje.

Pojęcie „społeczeństwo obywatelskie” nie padło, ale to właśnie ono Mazowiecki najwyraźniej miał na myśli. W sytuacji, gdy podstawowe prawa nie są szanowane lub są szanowane tylko częściowo, potrzebne jest tworzenie owej infrastruktury *Grundwerten*. „Tworzeniem tej infrastruktury zajmowaliśmy się przez lata” – mówił. „Tworzy ją Kościół w sposób sobie właściwy, pisma i środowiska takie jak nasze, środowiska indywidualne, ludzie w nauce, kulturze. Tam wszędzie, gdzie jest to działanie prawdziwe, autentyczne – jeśli

nawet cenzurowane i nie całkiem wolne zewnętrznie, to poczęte z wewnętrznej wolności i pozostające jej wyrazem. Sprawą zasadniczą jest tworzenie tej infrastruktury społecznej, podtrzymującej wartości, kształtującej etos. Ważne jest zharmonizowanie działań nastawionych na protest i na tworzenie owej struktury, tak by wzajemnie się uzupełniały. Ważne jest także, aby w procesie rewindykacji praw poprzeczka stawiana człowiekowi żyjącemu normalnym życiem była ustawiona właściwie – nie za nisko i nie za wysoko. Wychowanie społeczne, kultura polityczna jest odzyskiwaniem poczucia praw i wymaganiem od władzy szanowania praw i traktowania ich jako praw, a nie jako przywilejów”.

Swą wypowiedź zakończył znakomitym retorycznie przesłaniem: „Jest taka partia! – mówił Lenin, gdy pytano go, kto może zrealizować rewolucję w Rosji. I od tego czasu rządzące partie komunistyczne powołują się na to zdanie, z którego wywiodły zasadę, że istnieje tylko jeden program, jedna oficjalna myśl, ba – jedna oficjalna wersja troski o to, co jest dobre dla społeczeństwa, narodu, państwa.

Otóż chciałoby się powiedzieć, bez żadnej złośliwości ani ironii: jest taki naród, który nie oczekuje i nie żąda rzeczy niemożliwych, który – posądzany o niepomysłowy romantyzm – w ciągu tych trzydziestu lat dowodził w ciężkich, dramatycznych chwilach, że wie, gdzie w istniejących warunkach jest granica możliwego i niemożliwego. A posądzany o skłonność do jałowego anarchizmu, zwierzał się i – wbrew zawodom – zawierzał każdej lepszej szansie. [...] Jest ten naród; temu narodowi potrzeba nowego otwarcia, potrzeba oddechu, potrzeba rzeczywistego traktowania go jako podmiotu praw, jako podmiotu współodpowiedzialnego za jego losy, za wspólne losy kraju. Słowem, by przejść do słowa «kompromis» – kompromis między rządzonymi a rządzącymi nie jest poza granicą naszych rozważań o prawach człowieka i obywatela i o procesie rewindykacji tych praw. Chodzi o kompromis, a nie o poddaństwo myśli i postaw ludzkich. Wiemy jednak, że taki kompromis, który nie jest poddaństwem, musi być wywalczany. Tylko społeczeństwo, które

wykazuje zdolność do samoobrony w proteście i w budowaniu owej społecznej infrastruktury, o której mówiłem, tylko społeczeństwo, które w sobie zachowuje zdolność bycia podmiotem, może w ogóle coś ocalać i coś wywalczyć. A realizacja, ciągła nieustanna realizacja odpowiedzi na to pytanie zaczyna się u każdego od tej najprostszej zasady, którą Zbigniew Herbert wyraził w *Panu Cogito*: «Wstań i idź prosto, czuj się wolny».

Artykuł sprawozdawczy o sesji, który miał być opublikowany w „Tygodniku Powszechnym”, został w całości zdjęty przez cenzurę. Tylko niektóre referaty, ze skreśleniami cenzury, udało się zamieścić w „Więzi”. Część tekstów (czy może nawet wszystkie) została zamieszczona w drugoobiegowym czasopiśmie „Spotkania”. Wszystkie opublikowały w 1980 roku paryskie Editions du Dialogue. Ruch infrastruktury praw człowieka i obywatela tymczasem narastał aż do sierpnia 1980 roku i później.

Władza wykonawcza a status obywatela

Na pytanie „Kim jesteś, obywatelu?” – którego istota jest treścią niezliczonych rozpraw i traktatów filozoficznych – odpowiem bardzo krótko: jestem człowiekiem. Obywatelem jestem jako człowiek i moja pozycja wobec zbiorowości politycznej (a status obywatela to jest właśnie pozycja we wspólnocie politycznej) wynika stąd, że jestem człowiekiem oraz jest mi przyrodzona godność człowieka. Udzielam tej odpowiedzi niezależnie od tego, że myśl ta jest zawarta w przepisie Konstytucji RP otwierającym rozdział o wolnościach, prawach i obowiązkach. Zapisanie tej myśli w ustawie zasadniczej jest bardzo użyteczne z punktu widzenia wykładni, z punktu widzenia stosowania prawa, ale to nie konstytucja jest źródłem mocy obowiązującej tego sposobu pojmowania obywatelstwa i człowieczeństwa. Myśl ta jest zawarta w filozofii, o której mówił profesor Andrzej Friszke, będącej treścią wspomnianej sesji redakcji „Więzi” z 1977 roku. Pozwalam sobie przy tej okazji powiedzieć, że takie pojmowanie pojęcia „obywatel” odczytywałem nie tylko z tekstów i wypowiedzi pana Tadeusza Mazowieckiego – odczytywałem ją jako bezpośredni obserwator, a czasem wykonawca decyzji premiera Mazowieckiego. To się czuło w działalności rządu Tadeusza Mazowieckiego, w jego osobistym zaangażowaniu w rozstrzyganie różnych spraw. Świadomość, że obywatel, do którego adresowane są jego rozstrzygnięcia, jest człowiekiem – była głęboko zakorzeniona w tym wszystkim, co robił Tadeusz Mazowiecki w pracach komisji konstytucyjnej. Szczególnie wyraźnie odczuwało się to w zaangażo-

waniu Tadeusza Mazowieckiego w treść preambuły oraz w sposób, w jaki dochodziło się tej treści w procesie politycznym, jakim był proces tworzenia konstytucji.

Stereotypy utrwalone w świadomości społecznej Polaków sytuują obywatela i władzę wykonawczą na dwóch biegunach myślenia o państwie. O ile władza ustawodawcza i władza sądownicza były postrzegane jako ten segment władzy, który sprzyjał wolności obywatelskiej, o tyle wszelkiego rodzaju negatywne zjawiska w funkcjonowaniu państwa – nie tylko przejawy anarchizacji życia społecznego, nie tylko patologie, ale także okoliczności obiektywne, w których funkcjonowało państwo – składano na karb słabości władzy wykonawczej. Był taki prąd w naszej historiografii, który wszelkie nieszczęścia, jakie spotykały naród polski przypisywał słabości władzy wykonawczej. W rozszerzaniu kompetencji, we wzmacnianiu pozycji tej władzy upatrywano panaceum na wszelkie negatywne zjawiska. Przypomnijmy sobie z historii najnowszej, z historii niedawnych naszych lat, jak brak dekretów prezydenta i brak dekretów władzy wykonawczej miał być powodem trudności w procesie transformacji. Dekrety miały uczynić proces transformacji łatwym i przyjemnym, a ci, w których rękach miało być prawo stanowienia owych dekretów mieli posiadać wszelką mądrość oraz zdolność rozwiązywania wszystkich problemów. Jestem przekonany, że dokonywanie transformacji za pomocą dekretów, wyjście egzekutywy poza ramy swojego działania, osłabiłoby poparcie społeczne dla procesu transformacji, a zakres społecznego poparcia był jednym z istotnych problemów tego procesu. W czasie działania rządu Tadeusza Mazowieckiego zdarzało się, że mieliśmy do czynienia z tego rodzaju propozycjami – rozwiązywania pewnych podstawowych trudności za pomocą dekretów, za pomocą aktów, które byłyby w dyspozycji rządu. Tadeusz Mazowiecki zdecydowanie się temu przeciwstawiał i wskazywał, jak ważny dla uzyskania poparcia społeczeństwa jest model parlamentarnego stanowienia prawa, parlamentarnego rozwiązywania problemów, przed którymi stało ówczesne państwo. Sądzę, że stereotyp

wszechmocnej władzy wykonawczej jako gwaranta dobrego państwa pochodzi z innej epoki stosunków między państwem a obywatelem oraz z innego porządku stosunków międzynarodowych niż ten, w jakim znajduje się obecnie i państwo, i społeczeństwo.

Rok 1989 przyniósł nam, Polakom, drugą w XX wieku szansę na samodzielne urządzenie naszego życia zbiorowego. Tak jak w 1918 roku nasi ojcowie i dziadkowie wypełniali lukę po 123 latach niewoli, w 1989 roku zaczęliśmy wypełniać lukę w ewolucji nowoczesnego państwa – państwa, które, jeżeli chce należeć do wspólnoty współczesnych państw europejskich, musi spełniać pewne standardy cywilizacyjne. Rozpoczynaliśmy proces przebudowy państwa w sytuacji społeczeństwa znacznie opóźnionego w rozwoju. Opóźnienie to nie wynikało tylko z faktu, że jedynie 7 proc. Polaków miało wówczas wyższe wykształcenie, że zajmowaliśmy końcowe miejsce wśród państw europejskich pod względem liczby studentów, mieszkań, telefonów, sieci i jakości dróg, że wytwory naszego przemysłu nie dorównywały produktom przemysłu europejskiego. Byliśmy zacofani, bo nie tylko nie mieliśmy organizmów nowoczesnego, demokratycznego życia społecznego (takich jak samorząd terytorialny, sądy orzekające w sprawach wykroczeń czy system opieki społecznej docierający do tych, którzy tej opieki potrzebują), ale przede wszystkim nie mieliśmy tego, co nosi nazwę *know-how* społeczeństwa demokratycznego – wiedzy, jak godzić pozycję obywatela, jego wolność i jego prawa z efektywnością oraz sprawnością władzy wykonawczej. Rzeczą prostą było ratyfikowanie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, uchwalenie wielu ustaw gwarantujących obywatelowi jego prawa. Znacznie trudniej było wiedzieć, jak je realizować. Posłużę się jednym, bardzo drastycznym przykładem. Na początku lat dziewięćdziesiątych nastąpił spadek wykrywalności przestępstw. Czego było to rezultatem? Było to rezultatem może nie wyeliminowania, ale znacznego ograniczenia posługiwania się przez policję tzw. niedozwolonymi metodami śledztwa. W komiariatach po prostu przestano bić, a tym samym zdolność policji

do wykrywania przestępstw gwałtownie spadła. Przed 1989 rokiem bicie podejrzanych było podstawowym środkiem wykrywania wielu kategorii przestępstw. Później policja była bezradna, bo nie nauczono jej prowadzenia śledztw metodami przyjętymi w większości współczesnych państw demokratycznych, gdzie gwarantowane były prawa człowieka. Nie miała umiejętności, nie znała technik wykrywczych, nie posiadała nowoczesnej aparatury niezbędnej w kryminalistyce. Takich przykładów jest bardzo wiele i z różnych dziedzin życia społecznego. Wiedzieć jak – to jest podstawowy obowiązek władzy wykonawczej, gdy chodzi o stosowanie i przestrzeganie praw człowieka. To jest ta relacja, która powstaje między obywatelem a władzą wykonawczą. Droge uczenia się owego *know-how* trzeba przejść i nie można jej przechodzić na skróty. Nie można praw obywatela pozorować, jeżeli mają one być rzeczywistością społeczną. Nie można np. tworzyć sytuacji, w której za pomocą przepisów o ruchu drogowym faktycznie stwarza się możliwość arbitralnego decydowania przez władzę wykonawczą o możliwości korzystania przez obywateli z prawa do zgromadzeń. Nie można do walki z korupcją tworzyć kolejnej formacji tajnych służb zamiast dokonywać analizy procedur decyzyjnych obowiązujących w różnych dziedzinach życia państwowego, w różnych dziedzinach administracji. Czy jest to odpowiedź na pytanie o stosunek między władzą wykonawczą a obywatelem – sądzę, że tak, że właśnie w owym *know-how* tkwi istota problemu. Trudności tego procesu wynikają również stąd, że w wielu dziedzinach nie możemy skorzystać z doświadczeń innych państw, że sposoby realizacji wielu praw zależą od indywidualnych cech różnych społeczeństw, że wprawdzie prawa obywatelskie, prawa człowieka, mają charakter uniwersalny, ale metody ich realizacji nie zawsze mają charakter uniwersalny i nie mogą być stosowane w takich samych formach w różnych społeczeństwach, z różnym doświadczeniem historycznym, z różnym ukształtowanym stosunkiem do prawa. Nie można zatem rozwiązywać tej kwestii w sposób zapożyczony od innych.

Chciałbym wyrazić pogląd – może nader optymistyczny – że współczesne państwo funkcjonuje w warunkach poszerzającej się sfery wolności i praw człowieka, chociaż nie można nie dostrzegać pojawiających się nowych ograniczeń tych praw. Korzystanie z tych praw przez jednostkę niesie niekiedy negatywne skutki dla zbiorowości. Nie można ich eliminować poprzez zakazy czy nakazy. Dzisiaj nie odbierzemy paszportów naszym robotnikom budowlanym dlatego, że są bardzo potrzebni w kraju. Władza wykonawcza, kształtując politykę państwa w różnych dziedzinach życia społecznego, powinna w tej polityce uwzględniać nie tylko fakt, że poszerza się sfera praw obywatelskich, lecz również fakt, że wzrasta zdolność obywatela do egzekwowania tych praw za pośrednictwem zarówno instrumentów wewnętrznych, jak i instrumentów prawnomiędzynarodowych. Nie można się na to obrażać i wypowiadać sądów, że w ten sposób szkodzi się państwu czy interesom narodowym.

Na wstępie tych uwag muszę zastrzec, że dzisiejsze wystąpienie przygotowywałem w ubiegłym tygodniu i to, co powiem, nie jest w najmniejszym stopniu inspirowane wczorajszą tragiczną śmiercią pani Barbary Blidy. Chciałbym powiedzieć kilka słów na temat relacji między władzą wykonawczą a obywatelem, które bardziej odnoszą się do techniki sprawowania władzy niż do sfery prawa – o zarządzaniu strachem jako metodą sprawowania władzy. Zarządzanie strachem jest metodą sprawowania władzy zapewne tak starą jak sama władza. Metoda ta jest stosowana zarówno przez tych rządzących, którzy starannie studiowali Machiavellego, jak i tych, którzy w ogóle nie wiedzą, kto to był Machiavelli. Strach jest uczuciem, które wykorzystuje każda władza. Wykorzystywanie tego uczucia tkwi również w istocie prawa. Integralną częścią normy prawnej jest sankcja, tzn. zagrożenie negatywnymi skutkami niezastosowania się do dyspozycji zawartej w normie. Mówiąc o zarządzaniu strachem przez władzę rządzącą, mam jednak na myśli socjotechnikę sprawowania władzy, która wykorzystuje strach nie jako metodę podporządkowania prawu, lecz podporządkowania ludziom sprawującym władzę.

Zarządzanie strachem jest integralnie wpisane w funkcjonowanie wszelkich dyktatur. Przed tą metodą nie jest jednak zabezpieczone również państwo, w którym formalnie obowiązuje prawo i istnieją instytucje demokratyczne. Zarządzanie strachem jest możliwe przez intencjonalne, złe stosowanie prawa przez różnego rodzaju pozornie drobne nawet nadużycia prawa, przez wykorzystywanie pewnego niezbędnego w działaniu prawa marginesu decyzyjnego stosujących prawo. Oczywiście, społeczeństwo demokratyczne ma bardzo wiele środków, które mają je bronić przed stosowaniem takiej metody rządzenia. Jednym z nich jest uświadomienie rządzącym, jak głęboko ta metoda rządzenia narusza godność człowieka.

Standardy międzynarodowe i konstytucyjne praw człowieka

Zdaję sobie sprawę, że zaszczyt zaproszenia mnie na dzisiejszą konferencję wynika z faktu, iż przez kilka lat współpracowałem z premierem Tadeuszem Mazowieckim w ramach pełnionej przez niego misji Specjalnego Sprawozdawcy do spraw Praw Człowieka w byłej Jugosławii, powierzonej mu przez Komisję Praw Człowieka ONZ w sierpniu 1992 roku. Mandat ten jest jednym z najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych mechanizmów międzynarodowej ochrony praw człowieka. W swym wystąpieniu chciałbym m.in. wspomnieć o doświadczeniach wynikających z tego mandatu.

Proszę jednak pozwolić mi na wstępie nawiązać do tytułu dzisiejszej konferencji, czyli do pytania postawionego przez premiera Tadeusza Mazowieckiego w jego referacie wygłoszonym podczas uroczystości nadania mu godności doktora *honoris causa* Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego: „Kim jesteś, obywatelu?”.

Podobnie jak pan profesor Jerzy Ciemniewski zastanawiałem się, do kogo właściwie to pytanie jest adresowane, co to znaczy „być obywatelem”? Zastanawiałem się, czy w osiemnaście lat po transformacji ustrojowej – której istotą było przecież upodmiotowienie jednostki – mogą być wątpliwości co do tego, kim właściwie jest obywatel. Już jednak dotychczasowe wystąpienia na tej konferencji wskazują, że te wątpliwości nadal się pojawiają, i to nie tylko wśród osób, do których to pytanie jest skierowane, a więc „członków społeczeństwa danego państwa mających określone uprawnienia

i obowiązki”. Obserwacja naszego życia publicznego dowodzi, że wiele osób sprawujących funkcje publiczne nie w pełni rozumie to, kim jest obywatel oraz jak powinien przebiegać proces właściwego kształtowania relacji władza–jednostka.

Odpowiedź, której udzielił profesor Jerzy Ciemniowski – „Jestem człowiekiem” – jest trafna, gdyż oznacza, że przysługuje mi pełnia praw i wolności człowieka, a obywatelstwo jest tylko jednym, i to wcale nie najważniejszym, wyznacznikiem mojego statusu prawnego. Ta konstatacja nie wyjaśnia jednak w pełni całego kontekstu relacji, które wiążą się ze stosunkami między władzą a jednostką. Obserwatorzy współczesnego społeczeństwa polskiego, socjologowie, politolodzy, teoretycy kultury zauważają bowiem, że w ostatnich dwóch dekadach przeobrażenia w mentalności Polaków następują znacznie wolniej niż zmiany gospodarcze czy ustrojowe. Symptomem tego jest utrzymywanie się postaw roszczeniowych, myślenie w kategoriach egalitarno-kolektywistycznych czy też niska aktywność społeczna, czego jednym z przejawów, ale oczywiście nie jedynym, jest bardzo niska, wręcz kompromitująca frekwencja wyborcza. Okazuje się, że partycypacyjny model stosunków państwo–społeczeństwo jest w dalszym ciągu dla wielu Polaków abstrakcją. Status obywatela bardzo rzadko kojarzy się z powinnością postrzegania państwa jako wspólnego dobra, przy jednoczesnym pełnym poszanowaniu autonomii i wolności jednostki.

Należałoby się zastanowić, jakie są przyczyny tego stanu rzeczy. Oczywiście powodów jest wiele, na niektóre elementy tej sytuacji wskazał w swoim wystąpieniu profesor Jerzy Ciemniowski. Podzielając jego opinię, chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze inne zjawisko, którym jest spuścizna po poprzednim systemie ustrojowym. Nie możemy zapominać, że od drugiej wojny światowej przez ponad czterdzieści lat społeczeństwo polskie funkcjonowało (paradoksalnie) w ramach koncepcji tzw. praw obywatelskich. Ta zaś powstała w fundamentalnej sprzeczności z koncepcją praw człowieka. Opozycja „prawa człowieka – prawa obywatelskie” nie sprowadza się tylko do

mało istotnych różnic semantycznych. Podstawową kwestią jest to, że w poprzednim systemie źródłem praw, wolności i obowiązków było państwo, a pozycja jednostki stanowiła tylko pochodną więzów, jakie tę jednostkę łączyły z państwem i te więzy uosabiało obywatelstwo. Przyjęcie takiego założenia dawało państwu możliwość kształtowania statusu prawnego jednostki w sposób dowolny. Trzeba zarazem pamiętać, że nie obowiązywała zasada bezpośredniego stosowania norm konstytucyjnych, a i sama ustawa zasadnicza nie zasługiwała na tę nazwę, gdyż rządzący mogli ją zmieniać w sposób dowolny. W tej sytuacji konstytucyjna regulacja praw jednostki nie dawała żadnych gwarancji praw i wolności, gdyż nie wytyczała zakresu praw i wolności, które musiały być przestrzegane przez rządzących. Do dziś pamiętam, jak w 1968 roku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu wymachiwaliśmy tekstem Konstytucji PRL, domagając się realizacji zawartego w niej przepisu o wolności słowa, oraz z jakim zdziwieniem i ironią spotykało się to wśród tych, do których owe postulaty były adresowane.

Logiczną konsekwencją koncepcji tzw. praw obywatelskich było przyjęcie założenia, że sytuacji prawnej jednostki nie można było wartościować również na podstawie kryteriów zewnętrznych w stosunku do państwa i jego systemu prawnego. W świetle tej zasady niedopuszczalne było zatem poddanie procesów stanowienia czy stosowania prawa kontroli sprawowanej przez organy międzynarodowe. W rezultacie Polska, podobnie jak inne państwa komunistyczne, nie ratyfikowała np. protokołu dodatkowego do Międzynarodowego Paktu Praw Osobistych i Politycznych, co uniemożliwiało obywatelom składanie skarg do Komitetu Praw Człowieka. Polska oczywiście nie spełniała również kryteriów wymaganych do tego, aby przystąpić do Rady Europy i w konsekwencji ratyfikować Europejską Konwencję Praw Człowieka. W tej sytuacji, aczkolwiek byliśmy ówczesnie stroną wielu traktatów międzynarodowopravných regulujących prawa człowieka, ratyfikacja ta miała charakter czysto formalny. Niezależnie od tego również i w tym okresie podejmowane

były próby skorzystania z faktu ratyfikacji przez Polskę traktatów międzynarodowych. Próbę taką podjął m.in. profesor Adam Zieliński, wówczas jako sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego. Byli też inni, ale były to próby z góry skazane na niepowodzenie, gdyż szansa na to, by międzynarodowy system ochrony praw człowieka miał realny wpływ na kształt sytuacji prawnej jednostki była w tamtych latach minimalna. Miało to ten skutek, że w świadomości społecznej ukształtowało się przekonanie o całkowitej irrelewantności między normami konstytucyjnymi a kształtowaniem pozycji prawnej jednostki. Koncepcja tzw. praw obywatelskich w ówczesnym kształcie nie stworzyła zatem ani prawnych, ani socjologicznych, ani też psychologicznych podstaw do kreowania postaw proobywatelskich. Jednostka była traktowana jako część zbiorowości społeczeństwa lub państwa. Oznaczało to, że tzw. interes społeczny zawsze miał pierwszeństwo nad interesem jednostkowym, co więcej, immanentnym elementem tej koncepcji był konflikt między interesem ogółu a interesem jednostki, w którym to konflikcie racje jednostek nie miały szans na właściwą artykulację.

W ramach transformacji ustrojowej jednym z podstawowych wyzwań było przywrócenie właściwego znaczenia pojęciu „obywatel”. Transformacja ta oznaczała zatem odrzucenie dotychczasowego modelu relacji państwo–jednostka, oznaczała konieczność upodmiotowienia jednostek. Realny kształt trzeba było nadać prawom politycznym, czego pierwszym wyrazem, aczkolwiek niepełnym, były wybory do Senatu i częściowo do Sejmu w czerwcu 1989 roku. Wydawało się wówczas, że oczywistym wyzwaniem byłoby stworzenie gwarancji konstytucyjnych dla tego nowego układu stosunków państwo–jednostka poprzez szybkie uchwalenie ustawy zasadniczej. Dzisiaj często się zastanawiamy, dlaczego tak długo nie udało się wtedy uchwalić tej konstytucji (jak wiadomo, została uchwalona dopiero w 1997 roku). Bardzo ciekawą analizę, zawierającą wiele trafnych ocen tego procesu, przedstawił profesor Wiktor Osiatyński, choć oczywiście z wieloma jego uwagami można się nie zgodzić.

Wydaje mi się, że w jego pracy zawarte jest jedno szczególnie trafne spostrzeżenie, kiedy zastanawia się, dlaczego tak długo nie udało się stworzyć katalogu norm konstytucyjnych chroniących prawa i wolności jednostki, dlaczego w ogóle problematyka praw jednostki zeszała na drugi plan w pierwszej fazie transformacji ustrojowej.

Proszę pozwolić mi w tym miejscu na pewną dygresję natury osobistej. Nie mam doświadczeń we współpracy z premierem Tadeuszem Mazowieckim w okresie sprawowania przez niego funkcji szefa rządu. Zgadzam się, że w działalności pierwszego rządu II Rzeczypospolitej można było dostrzec fundamentalną zmianę w podejściu do stosunku władza–jednostka, ale mam pewne osobiste wspomnienie z rozmowy z jednym z następców pana premiera (nie chcę się tu posługiwać nazwiskami, powiem tylko, że koleżanka ta współpracowała ze mną wcześniej w Poznańskim Centrum Praw Człowieka Instytutu Nauk Prawnych PAN). Po kilku miesiącach sprawowania funkcji, pani premier powiedziała do mnie: „Te prawa człowieka strasznie utrudniają sprawowanie funkcji premiera, co chcę zrobić, to nie mogę, tu mi nie pozwalają, tam mi nie pozwalają...” – a zatem i wówczas panowało poczucie pewnego ograniczania możliwości funkcjonowania władzy właśnie poprzez system praw jednostki, co jest oczywiście zjawiskiem pozytywnym.

Wracając do Wiktora Osiatyńskiego, którego chciałbym tutaj zacytować, pragnę zwrócić uwagę, że jego spostrzeżenie nabrało nowego blasku w świetle tego, z czym mamy do czynienia dzisiaj. Mianowicie pisze on tak: „Wielu polityków wywodzących się z Solidarności uważało walkę o poszanowanie praw człowieka, która była przecież głównym dziedzictwem ich obozu, za wygraną wraz ze zwycięstwem Solidarności, a same prawa zabezpieczone przez sam fakt posiadania władzy przez ten obóz. Dla jeszcze innych, zwłaszcza dla zwolenników «przyśpieszenia» i twórców powstającej prawicy, prawa człowieka powinny ustąpić drogi, zarówno w walce z nowymi zagrożeniami w postaci przestępczości i korupcji, jak i w potrzebie odpłaty za komunistyczną przeszłość” – słowa te autor

napisał siedem lat temu. Wydaje mi się, że gdybym nie podał daty, tekst ten mógłby brzmieć jak opis stanu dzisiejszego.

Oczywiście, brak regulacji konstytucyjnej nie oznaczał istnienia próżni normatywnej w zakresie ochrony praw jednostki. Orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Administracyjnego kierowało się potrzebą poszukiwania standardów ochrony praw człowieka wiążących Polskę w traktatach międzynarodowych. Te właśnie traktaty – a zwłaszcza Europejska Konwencja o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności oraz Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka – dostarczały wzorców normatywnych organom orzekającym w związku z brakiem odpowiednich uregulowań konstytucyjnych. Już w 1991 roku Sąd Najwyższy powołał się bezpośrednio na Międzynarodowy Pakt Praw Osobistych i Politycznych oraz uznał, że zawarta w nim norma ma charakter bezpośrednio obowiązujący w polskim systemie prawa. Nie będę tutaj przywoływał orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, który wyprowadzał z art. 1 Konstytucji wiele konkretnych zasad, chociażby takich jak ochrona praw słusznie nabytych, niedziałanie prawa wstecz, prawo obywatela do sądu itd. Wszystkie te prawa Trybunał wywodził i rekonstruował w sytuacji, w której brakowało jeszcze jasno określonych norm konstytucyjnych. O ile zatem teza o zaniedbaniu troski o prawa jednostki jest trafna, jeśli chodzi o problem konstytucyjnej regulacji tych praw w latach dziewięćdziesiątych, o tyle orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego, posiłkując się międzynarodowym prawem praw człowieka, skutecznie wypełniało tę lukę. Trzeba zarazem stwierdzić, że powody owej fascynacji międzynarodowymi aktami praw człowieka, przejawianymi przez polską judykaturę, miały podstawy formalnoprawne, ponieważ Polska szybko ratyfikowała Europejską Konwencję Praw Człowieka i poddała się kontroli organów strasburskich. Pozwoliło to osobom podlegającym jurysdykcji naszego kraju na składanie skarg do tych organów.

Nie ulega zatem wątpliwości, że elementem demokratycznego

państwa prawa jest obowiązywanie międzynarodowych standardów ochrony praw człowieka. Obowiązywanie tych standardów oznacza zarazem istnienie nieprzekraczalnych barier dla organów państwa, zarówno organów wykonawczych, jak i ustawodawczych. Nawet parlament mający autentyczną legitymację demokratyczną nie może w sposób dowolny wpływać na status prawny jednostki. Omnipotencja władzy jest ograniczona podstawowymi i niezbywalnymi prawami człowieka.

Chciałbym abstrahować od kontekstu bieżących wydarzeń, ale trudno pominąć fakt, że nasza konferencja odbywa się w bardzo szczególnym momencie – mam na myśli wczorajszą tragiczną śmierć pani Barbary Blidy oraz kolejną falę dyskusji nad moralnym aspektem odmowy wykonania prawa, wywołaną decyzjami m.in. profesora Bronisława Geremka i premiera Tadeusza Mazowieckiego o odmowie złożenia oświadczeń lustracyjnych (choć każda z tych decyzji miała nieco inne powody). Szczególnie niepokoi mnie fakt, iż pada bardzo dużo głosów krytycznych wobec postawy obu panów, a są to wypowiedzi formułowane nie tylko przez ludzi, którzy może nie zdają sobie w pełni sprawy z tego, na czym właściwie polega istota praw człowieka, ale także przez osoby zasłużone w walce o te prawa. Otóż w koncepcję praw człowieka jest wpisane nie tylko prawo, lecz również obowiązek odmowy realizacji prawa, które jednostka uważa za sprzeczne z wartościami dla tej jednostki fundamentalnymi. Nie jest to bynajmniej nawoływanie do anarchii, gdyż odmowa realizacji prawa wiąże się z gotowością poddania się sankcji. Dopóki jestem skłonny poddać się sankcji, a odmawiam wykonania określonego prawa, nie można mnie oskarżać o brak szacunku dla prawa, bo szacunkiem dla prawa jest właśnie odmowa realizacji prawa, które w mojej własnej ocenie jest sprzeczne z fundamentalnymi wartościami. Mamy tutaj do czynienia z instytucją nieposłuszeństwa obywatelskiego, polegającą na manifestacyjnie wyrażanym przez obywateli uchylaniu się od podporządkowania się określonemu nakazowi lub zakazowi wynikającemu z obowiązującego prawa. Jednym z warun-

ków korzystania z tego prawa jest uzasadniona wątpliwość co do konstytucyjności kwestionowanego prawa. Wspomniane zachowanie obu wybitnych twórców demokratycznego państwa polskiego jest właśnie w pełni uprawnionym prawem do korzystania z nieposłuszeństwa obywatelskiego.

Taka reakcja na niekonstytucyjne prawo jest wręcz powinnością obywatelską. Potwierdzają to wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, chociażby te, które oceniały działania podejmowane przez polityków i funkcjonariuszy byłej NRD, uznające za uprawnione karanie tych ludzi po upadku komunizmu przez sądy RFN za czyny, które wydawały się zgodne z prawem obowiązującym w NRD. Zaznaczam, że wydawały się, bo Trybunał wywiódł, iż w istocie były sprzeczne z tym prawem.

W tym miejscu uprawnione jest pytanie, które może sobie stawiać jednostka: co jest skuteczną gwarancją ochrony moich praw? Czy wystarczy mieć gwarancję międzynarodowej ochrony oraz czy i w jakim stopniu można wierzyć w skuteczność międzynarodowych mechanizmów ochrony tych praw wtedy, kiedy zawodzi mechanizm krajowy? Czy uczestnictwo w międzynarodowym systemie ochrony praw człowieka łączy się również dla nas wszystkich, dla obywateli, z pewnymi powinnościami? Tu chciałbym nawiązać do okresu współpracy z premierem Tadeuszem Mazowieckim w byłej Jugosławii i zacytować dwie jego wypowiedzi. Pierwszy cytat pochodzi ze wstępu do polskiego wydania pierwszej części raportów, które ukazało się w 1993 roku nakładem Poznańskiego Centrum Praw Człowieka Instytutu Nauk Prawnych PAN. Tadeusz Mazowiecki stwierdził wówczas: „Społeczność międzynarodowa nie była zdolna zapobiec łamaniu praw człowieka w Bośni i Hercegowinie. Sarajevo, mimo codziennego lądowania samolotów z żywnością, zostanie symbolem opuszczonych. Bośni pozostawiono wybór pomiędzy dalszą beznadziejną wojną a zaakceptowaniem faktów dokonanych w wyniku polityki czyszczenia etnicznego. W Europie i Ameryce zabrakło woli politycznej, aby podjąć zdecydowane działania wymu-

szające zaprzestanie agresji i łamania praw człowieka. Mechanizmy Narodów Zjednoczonych okazały się nieprzystosowane do podjęcia takiego zadania”.

Dwa lata później w głośnym liście do sekretarza generalnego ONZ Butrosa Ghali, w którym oznajmił o swojej rezygnacji z funkcji Specjalnego Sprawozdawcy Komisji Praw Człowieka, Tadeusz Mazowiecki napisał: „Mówienie o obronie praw człowieka traci wiarygodność wobec braku konsekwencji i odwagi społeczności międzynarodowej i jej przywódców. Prawdziwą rzeczywistość praw człowieka, do której doszliśmy, obrazuje dziś dramat ludności Srebrenicy. Zbrodnie następują szybko i bezwzględnie, a reagowanie na nie przez społeczność międzynarodową jest opóźnione w czasie i niekonsekwentne”.

Przytoczone cytaty zawierają jakże trafną i zarazem brutalnie szczerą ocenę stanu funkcjonowania międzynarodowych mechanizmów ochrony praw człowieka w sytuacjach dramatycznych, w sytuacjach zagrożeń powszechnymi i masowymi naruszeniami tych praw..

Sprawując bardzo trudną funkcję Specjalnego Sprawozdawcy, Tadeusz Mazowiecki stanął też przed poważnym dylematem – co powinno mieć priorytet: pomoc ofiarom czy napiętnowanie sprawców? Oczywiście w raportach znajdziemy oba te elementy, ale należało jednak wyraźnie wskazać na zadanie pierwszoplanowe w sytuacji tak dramatycznego konfliktu. Tadeusz Mazowiecki uznał, że przede wszystkim należy pomóc ofiarom – osobom przetrzymywanym w obozach koncentracyjnych, wysiedleńcom pozbawionym dachu nad głową, więźniom. Bardzo szybko okazało się też, że nie da się doprowadzić do zawarcia pokoju dopóty, dopóki sprawcy zbrodni nie zostaną ukarani. Dlatego też Specjalny Sprawozdawca poparł ideę utworzenia Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Przyjmując powierzony mu mandat, Tadeusz Mazowiecki zastanawiał się, czy i jaką ma szansę na odniesienie sukcesu. Przy czym za sukces uznawał doprowadzenie do zakończenia konflik-

tu, a zwłaszcza powstrzymanie czystek etnicznych i spirali zbrodni. Ponieważ tego celu nie osiągnął, już po kilku miesiącach poważnie rozważał możliwość podania się do dymisji. O tym, że tego nie zrobił, zdecydowała postawa ludności na terenach objętych mandatem. Mieszkańcy byłej Jugosławii uznali, że Specjalny Sprawozdawca jest ich rzecznikiem i że dzięki jego raportom świat jest w sposób obiektywny i rzeczowy informowany o wydarzeniach w kraju. Stałe odwoływanie się do opinii publicznej było ważnym elementem tego mandatu. Można zaryzykować twierdzenie, że Tadeusz Mazowiecki wprowadził nowy standard. Uznał bowiem, że raporty nie mogą służyć wyłącznie dyplomatom, lecz ich treść musi być znana szerokiej opinii publicznej.

Tadeusz Mazowiecki przeszedł do historii systemu ochrony praw człowieka Narodów Zjednoczonych jako pierwszy wysoki rangą przedstawiciel tej organizacji, który podał się do dymisji w sposób tak spektakularny. Jego decyzja niewątpliwie wywarła istotny wpływ na ostateczne rozwiązanie tego konfliktu, była kamyczkiem uruchamiającym lawinę, która ostatecznie doprowadziła do zawarcia pokoju w Dayton pod koniec 1995 roku. Ale doświadczenia, jakie wynieśliśmy z tego konfliktu – niestety, potwierdzone później tragicznymi wydarzeniami w innych regionach świata, takich jak Ruanda, Timor Wschodni, Sudan czy Czeczenia – nie pozwalają uznać, że międzynarodowa ochrona może być panaceum na wszelkie zagrożenia praw człowieka. Dowodzą one, że w istocie, kiedy dochodzi do tragicznych naruszeń praw człowieka, liczenie na zewnętrzną interwencję, poleganie na skuteczności tej interwencji jest ułudą. I właściwie od tego czasu, mimo że trwają prace nad reformą systemu, mimo że podejmowane są różne działania mające ów system wzmocnić, niewiele się zmieniło. Jesteśmy tego wszyscy świadkami w różnych rejonach świata. Najbardziej dramatycznym przykładem tej sytuacji jest obecnie Darfur.

Elementem świadomości obywatelskiej powinna zatem stać się potrzeba solidarności z ofiarami naruszeń praw człowieka na ca-

łym świecie oraz aktywna postawa w ich obronie. O to właśnie niestrudzenie zabiegał Tadeusz Mazowiecki pełniąc swoją, jakże odpowiedzialną, funkcję Specjalnego Sprawozdawcy w byłej Jugosławii. Rozumiał on bowiem, że bez tej solidarności, bez aktywności społecznej w obronie praw człowieka na całym świecie, międzynarodowy system ochrony praw człowieka nigdy nie będzie funkcjonował prawidłowo. Obawiam się, że ta misja jest nadal aktualna, że nawoływanie do solidarności społecznej wciąż jest niezbędne, aby ów system wzmocnić.

Doświadczenia zdobyte w trakcie misji w byłej Jugosławii były na pewno przydatne w procesie tworzenia nowej konstytucji. Sądzę, że już w połowie lat dziewięćdziesiątych stało się jasne, że niezbędna jest w Polsce pełna, konstytucyjna, kompleksowa regulacja praw jednostki. Ta konstytucyjna regulacja stała się faktem z chwilą uchwalenia ustawy zasadniczej w 1997 roku. Oczywiście, z braku własnych wzorców, które nadawałyby się do natychmiastowego zastosowania, międzynarodowy system praw człowieka pełnił i w dużym stopniu nadal pełni rolę mechanizmu transformującego, przenoszącego na nasz grunt wzorce kultury prawnej charakterystycznej dla demokratycznego państwa prawa. Standardy te stały się też ważną inspiracją dociekań aksjologicznych.

Uchwalenie konstytucji nie zamknęło jednak sporów dotyczących interpretacji poszczególnych praw oraz wartości, które ten system ma chronić. Przypomnijmy choćby stale wznawianą debatę nad kwestią prawnej regulacji aborcji czy też pojawiające się głosy nawołujące do przywrócenia w Polsce kary śmierci. Również i w tych sporach międzynarodowe prawo praw człowieka jest ważnym wyznacznikiem, istotnym wzorcem. Oczywiście nie oznacza to, że standardy międzynarodowe nie pozostawiają pola manewru dla ustawodawcy krajowego. Niekiedy jednak można odnieść wrażenie, że w dyskusjach nad modelowymi uregulowaniami standardów prawno-ludzkich w prawie wewnętrznym nadmiernie demonizuje się orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Często zapomina się, iż

w wielu kwestiach Trybunał pozostawia państwu członkowskiemu szeroki margines interpretacji i nie stara się narzucać wąsko pojętych sposobów rozumienia prawa. Dotyczy to zwłaszcza kwestii, które w poszczególnych państwach wywołują spory o charakterze aksjologicznym lub etycznym. Jako jeden z wielu przykładów może posłużyć wyrok w sprawie zakazu eutanazji w Wielkiej Brytanii, a także wiele innych wyroków, w tym również niedawny wyrok w sprawie *Alicja Tysiiąc przeciwko Polsce*. Wbrew opinii krytyków, Trybunał wcale nie pragnie narzucić nam jakichś nowych standardów, ale po prostu próbuje wymusić realizację standardów już przyjętych.

Niezależnie od tego, jak dalece skuteczne dla kształtowania wewnętrznego porządku prawnego jest odwoływanie się do idei praw człowieka, nie może budzić wątpliwości teza, że poszanowanie tych praw przez ustrojodawcę też jest standardem, któremu powinno odpowiadać prawo współczesnego cywilizowanego kraju. Status jednostki jest w tym ujęciu funkcją przenikania się regulacji międzynarodowej i konstytucyjnej. Prawa człowieka są obecnie postrzegane nie tylko jako instytucja prawna, która określa stosunek między jednostką a państwem. Ich funkcje są pojmowane coraz szerzej. Wpływ na to ma zapewne fakt, że procesy społeczne zachodzące w skali danego kraju lub w skali globalnej wymykają się utrwalonym instytucjom czy procedurom. Powszechna jest więc opinia, że życie wspólnoty potrzebuje norm aksjologicznych, które umiejscowiłyby jednostkę w centrum odniesień ludzkiej aktywności, że rolę tę mogą i powinny odgrywać prawa człowieka sytuujące jednostkę w kontekście jej uprawnień i skorelowanych z nią obowiązków innych podmiotów.

Parafrazując tytuł dzisiejszej konferencji i pytając, „Kim powinieneś być, obywatelu?“, wydaje mi się, że odpowiedź na to pytanie powinna być jedna: otóż musimy dążyć do tego, aby stworzyć warunki, w których obywatel będzie aktywnym podmiotem praw i wolności, dążącym do ich pełnej i powszechnej realizacji zarówno w kraju, jak i na świecie.

Kilka refleksji nad problemami polskiego obywatela oraz nad tym, czego potrzeba Polsce

Ponieważ nie jestem prawnikiem, otrzymałem od gospodarza naszego panelu pewną swobodę wypowiedzi. Postanowiłem zatem podzielić się kilkoma refleksjami na temat problemów, które, jak mi się wydaje, ma obywatel w Polsce w ostatnich kilku latach. Nie mam na myśli obywateli w sensie formalnym – tzn. wszystkich, którzy spełniają formalne kryteria posiadania polskiego obywatelstwa – ale ludzi, którzy są (czy chcą być) obywatelami świadomymi, w sposób odpowiedzialny współdecydującymi o sprawach kraju, poczuwającymi się do odpowiedzialności za wspólnotę, w której żyją, czyli obywatelami rozumianymi jako „sól polskiej ziemi”. Oczywiście wiemy, że im bogatsza jest tkanka społeczeństwa obywatelskiego, różnych organizacji i stowarzyszeń, tym większe istnieją szanse na wysoką jakość demokracji. Jednak podczas wyborów ludzie głosują na partie polityczne. Uważam, że jakość tych partii, w każdym razie w ostatnich latach, nie pozostaje bez związku z niepokojąco niskim miejscem, jakie zajmuje zawód polityka w hierarchii autorytetów różnych zawodów (np. w sondażu przeprowadzonym niedawno przez „Politykę” zawód polityka znalazł się na samym końcu).

Oczywiście, istnieją politycy bardzo wybitni. Należał do nich m.in. jeden z moich ulubionych bohaterów historycznych, generał Charles de Gaulle. Prezydent Francji bardzo nie lubił partii politycznych, uważał, że powodują podziały, skłócenie, że nie są w stanie wyzwolić się z myślenia partykularnego. Ale przecież ten

sam de Gaulle stworzył w latach pięćdziesiątych Unię Demokratów na rzecz Nowej Republiki – ugrupowanie, które wprawdzie nie miało w nazwie słowa „partia”, ale faktycznie spełniało funkcje partii politycznej. Później zaś zwolennicy de Gaulle’a tworzyli różne struktury, w których nazwach także nigdy nie było słowa „partia”, ale które – czy jako „unia”, czy jako „zjednoczenie”, czy jako „ruch” – spełniały funkcję systemu partyjnego. Wielkim krytykiem systemu partyjnego był również marszałek Józef Piłsudski, o którym można powiedzieć, że doszedł do władzy dzięki krytyce partyjnictwa sprzed 1926 roku. Jego zwolennicy stworzyli natomiast Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, który spełniał funkcje partii politycznej, chociaż się partią nie nazywał.

Wydaje się zatem, że partie mają wiele słabych stron, ale dotychczas nie wymyślono niczego lepszego. Ludzie, chcąc działać politycznie, organizują się w partie. Bardzo wiele zależy jednak od jakości tych partii. Uważam, że w ostatnich latach polskim partiom politycznym zagrażają trzy „schorzenia”. Pierwsze – to zagrożenie cynizmem i pychą. Wydaje się, że zagrożenie to Polacy uświadomili sobie szczególnie silnie po ujawnieniu tzw. afery Rywina. Nie będę wymieniał nazw organizacji partyjnych i ugrupowań skazanych przy sprawowaniu władzy cynizmem i pychą, ale Polacy niewątpliwie to zagrożenie dostrzegli i, próbując mu się przeciwstawić, zagłosowali w następnych wyborach parlamentarnych tak, jak zagłosowali. Zagrożenie cynizmem i pychą jest zagrożeniem realnym, występującym w życiu politycznym i żadna partia oczywiście nie ma monopolu, aby reprezentować te negatywne cechy. Drugie schorzenie zagrażające polskim partiom określiłbym jako „politykę gestu i sondaży”, czyli prowadzenie takiej polityki, w której tak naprawdę nie chodzi o wyraz głębokich przekonań, ale o obserwowanie, „jak rosną słupki w sondażach”. Wszelkie działania podejmowane są wyłącznie w celu poprawy notowań, przyjmuje się zatem pewne pozy i czyni gesty, które mają te notowania podnieść. Trzecim schorzeniem jest polityka *idée fixe*, której nie należy mylić z polityką ideową. Polityka

bowiem musi mieć podstawę ideową, ale polityka *idée fixe* przejawia się w tym, że polityk „wie wszystko”: wie, jaki jest stan kraju, wie, co jest dla kraju niebezpieczne i realizuje taką wizję *par force*. Otóż polityka *idée fixe* przynosi nieszczęśliwe rezultaty, bo nie ma w niej miejsca ani na kompromis, ani na zrozumienie rzeczywistości (bo jeśli rzeczywistość nie odpowiada wyobrażeniom, tym gorzej dla niej). Takie trzy zagrożenia dostrzegam w życiu partyjnym Polski.

Obywatel, który chce świadomie oddać głos w wyborach, nie bardzo jednak może liczyć na pomoc intelektualistów. Wielu z nich bowiem – w słusznym geście protestu przeciw polityce cynizmu i pychy – zbyt łatwo uznało, że wszystko to, co stworzyliśmy w Polsce po 1989 roku nadaje się „do wyrzucenia”, że jest to historia kłęski, że trzeba wszystko zacząć od nowa. Była to pedagogika kłęski. Na pedagogice kłęski zaś nie można zbudować niczego pozytywnego. Znacznie bliższa wydaje mi się wizja Polski, którą przedstawił Jan Paweł II w polskim parlamencie w 1999 roku. Najnowsza historia naszego kraju była przez niego postrzegana jako historia wielkiego zwycięstwa, które rozpoczęło się w latach siedemdziesiątych i którego zwieńczeniem była wolna Rzeczpospolita. Zawarte to było najdobitniej w jego słowach: „Ale nam się wydarzyło!”. Teraz jednak zatracone zostało poczucie miary – miary w krytyce, miary w ocenie stanu państwa, które oczywiście wymaga naprawy, wielu korekt, ale należy je szanować i oceniać rzetelnie.

Wydaje się, że problem obywatela polega na tym, iż ma do wyboru bardzo wielu polityków, ale niestety nie ma wśród mężów stanu uczestniczących czynnie w życiu partyjnym. Dzisiejszy jubilat, Tadeusz Mazowiecki, niewątpliwie jest mężem stanu i prowadzona przez niego polityka była polityką męża stanu. Można by przytaczać wiele przykładów, chciałbym powiedzieć o dwóch. Słusznie oddaje się szacunek profesorowi Leszkowi Balcerowiczowi, z którym zostało związane pojęcie „plan Balcerowicza”, bo rzeczywiście był on wykonawcą i „twarzą” tego programu, ale przecież ów program był niczym innym jak wyborem ostatecznym, którego dokonał

premier rządu, Tadeusz Mazowiecki. Otóż wszyscy, którzy znają premiera Mazowieckiego, wiedzą, że jest to człowiek o wielkiej, naturalnej wrażliwości społecznej, w znacznej mierze zapewne wynikającej z chrześcijaństwa. Otóż premier z całą pewnością zdawał sobie sprawę, że program, który przyjdzie realizować jego rządowi, z tą wrażliwością społeczną będzie się zderzał, bo jego koszty będą ponosić przede wszystkim ludzie zatrudnieni w dużych zakładach, które były „bastionami Solidarności”. Wziął jednak na siebie tę odpowiedzialność, bo uważał, że wymaga tego dobro wspólne, dobro Rzeczypospolitej. Istnieją ludzie, którym podejmowanie tego typu decyzji przychodzi łatwiej, nie mają bowiem takiej wrażliwości społecznej. Jest to wielka sztuka – pójść przeciwko swoim naturalnym instynktom, odruchom, w imię dobra wspólnego, w imię dobra Polski.

Jako drugi przykład chciałbym przytoczyć kwestię uregulowania stosunków polsko-niemieckich. Otóż co najmniej od lat sześćdziesiątych Tadeusz Mazowiecki, jako działacz katolicki, był jednym z tych, którzy torowali drogę porozumieniu polsko-niemieckiemu. W latach 1989–1990 uważał, że porozumienie to musi zostać zawarte w wyniku dialogu, na warunkach partnerskich i godnych, że nie może to być jednostronny gest Niemiec, które coś Polsce „dają”. Horst Teltschik, doradca kanclerza Helmuta Kohla, w swej książce zatytułowanej *329 dni*, wciąż się żali na upartego Polaka, Tadeusza Mazowieckiego, który domagał się udziału Polski w konferencji 2 plus 4, mimo że przecież było wiadomo, iż Niemcy *dadzą* Polsce uznanie granicy. Polski premier nie chciał jednak, żeby to był akt jednostronny, pragnął, aby to niezbędne pojednanie polsko-niemieckie, którego wyrazem był traktat o granicach, dokonało się z udziałem Polski, i tak się właśnie stało.

Polsce potrzeba zatem mężów stanu, ale potrzeba też powrotu do polityki ideowej. Dzisiaj można powiedzieć, że mężów stanu nie mamy zbyt wielu, a może nie mamy w ogóle. Dopóki jednak świadomi obywatele – ci, którzy chcą decydować losach Polski,

którzy czują brzemień odpowiedzialności – będą wymagali takiego standardu od polityków, dopóty istnieje nadzieja, że polska polityka nie będzie taka jak obecnie.

**Autentyczność – Tadeusz Mazowiecki:
krótka biografia polityczna i intelektualna
(Kim jest człowiek, który 18 lat temu został
pierwszym antykomunistycznym szefem rządu
w krajach bloku wschodniego?)**

Lata spędzone w PAX-ie, grubo ponad pół wieku temu, nie były decydujące dla ukształtowania osobowości Tadeusza Mazowieckiego. Z kolei w okresie największych sukcesów publicznych, po roku 1989, Mazowiecki był już gotowym intelektualistą i politykiem. Gotowym w tym sensie, że bodaj wszystkie decyzje, jakie podjął, i bodaj wszystkie teksty, jakie napisał po 12 września 1989 r. miały swoje antecedencje: były rozwinięciem postaw i poglądów zrodzonych wcześniej.

Kiedy? Po roku 1955 (bunt w PAX-ie), a przed rokiem 1989, w największym zaś stopniu w okresie 1955–1980. A więc – kolejno – w czasach Klubu Inteligencji Katolickiej, miesięcznika „Więź”, Koła Poselskiego „Znak”, a w końcu i opozycji demokratycznej.

Dlatego w tym szkicu największa uwaga zostanie skupiona na tych czasach i tych sprawach.

Biskup Kaczmarek

A jednak lata PAX-owskie są ważne i nie do omińnięcia z jednego powodu: z racji tekstu o biskupie Kaczmarmku.

Ordynariusz kielecki Czesław Kaczmarek był jednym z biskupów najmniej przychylnych „władzy ludowej”, która nie pozostawała mu dłużna. W końcu biskupa aresztowano pod pretekstem kontaktów z podziemiem antykomunistycznym, a następnie oskarżono – jak to

było wtedy w zwyczaju – o ciężkie zbrodnie, w tym o kolaborację z hitlerowcami w czasie okupacji i współpracę z wywiadem amerykańskim po wojnie. Komuniści znaleźli na hierarchę „haka”: jego chwiejną postawę w stosunku do hitlerowców (oczywiście, gdyby był uległy po 1944 r., nie byłoby z tym problemu). Na dodatek po aresztowaniu w 1951 r. Kaczmarek załamał się w śledztwie i przyznał do stawianych mu zarzutów. 22 września 1953 r. skazano go na 12 lat więzienia.

Tekst 26-letniego wówczas Mazowieckiego ukazał się na łamach „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego” kilka dni po wyroku i zawierał fragmenty typowe dla komentarzy po pokazowych procesach. Oto jeden z nich: „Wychowanie nacechowane podejrzliwością i wrogością wobec postępu społecznego, atmosferą środowiska społecznego rozniecającą lub choćby tylko podtrzymującą bezwzględna wrogość wobec osiągnięć społecznych Polski Ludowej, wpływy polityczne przychodzące z zewnątrz i wyrosła na tym wszystkim błędna postawa polityczna ks. bp. Kaczmarka, która doprowadziła go do kolizji z prawem – oto sumarycznie ujęte przyczyny działalności przestępczej oskarżonych. Doprowadziły one do czynów skierowanych przeciwko interesom własnego narodu. Doprowadziły ks. bp. Kaczmarka do działalności wrogiej wobec interesu narodowego i postępu społecznego w okresie przedwojennym, okupacyjnym i w Polsce Ludowej. Doprowadziły w szczególności nie tylko do postawy przeciwnej nowej rzeczywistości naszego kraju, nie tylko do podrywania zaufania w trwałość władzy ludowej i nowych stosunków społecznych w Polsce, ale i do uwikłania się we współpracę z ośrodkami wywiadu amerykańskiego, które pragnęłyby posługiwać się przedstawicielami duchowieństwa, jako narzędziem realizacji swych wrogich Polsce planów” („Wrocławski Tygodnik Katolicki”, 27 września 1953 r.).

Czytając to dziś, powiemy: straszne. Tak, to było straszne, ale jakoś inaczej, niż może się wydawać teraz, z perspektywy demokratycznego państwa. Żeby choć trochę wejrzeć w klimat tamtego czasu, trzeba przypomnieć, że był to czas komunizmu zwycięskiego i pełnego wigoru, czas ostrej walki z Kościołem, ze zmasowaną propagandą an-

tykościelną i fizyczną eliminacją przeciwników włącznie. Kościół był zagrożony dosłownie: rugowano nieposłusznych biskupów, obsadzano diecezje figurantami, konfiskowano własność, no i przede wszystkim przymuszano Kościół do tego, by jak najszerszej włączał się do obłąkańczego rydwanu zwycięskiej ideologii (np. księża-patrioci, ale dalece nie tylko oni). Kościół walczył o przetrwanie i – przymuszany – w jakimś stopniu uczestniczył w rozmaitych komunistycznych obrzędach propagandowych. Czasem również w tych, które wymierzone były bezpośrednio w niego.

Pół roku przed procesem bp. Kaczmarka odbył się inny spektakl polityczny w formie wymiaru sprawiedliwości: proces kurii krakowskiej. A już 6 marca 1950 r. sędziwy krakowski kardynał Sapieha, widząc, ku czemu sprawy zmierzają, napisał znamienne oświadczenie: „W razie gdybym był aresztowany, stanowczo niniejszym ogłaszam, że wszelkie moje tam złożone wypowiedzi, prośby i przyznania się są nieprawdziwe. Nawet gdy one byłyby wygłaszane wobec świadków, podpisane, nie są wolne i nie przyjmuję ich za swoje”.

Oskarżonych w procesie kurii krakowskiej masowo potępiano. Doszło do tego, że do potępiających dołączył sam Episkopat Polski, w imieniu którego stosowne oświadczenie wydał bp Zygmunt Chormański. Podobnie było po procesie biskupa Kaczmarka: „Godne ubolewania fakty ujawnione w procesie biskupa kieleckiego (...) wymagają zdecydowanego potępienia. Episkopat nie będzie tolerował wkraczania przez kogokolwiek z duchowieństwa na drogę szkodzenia ojczyźnie i będzie stosował wobec winnych odpowiednie sankcje zgodnie z prawem kanonicznym”.

Tekst Mazowieckiego o Kaczmarku był straszny. Ale warto pamiętać, jak strasznym kraju został napisany.

Wcześniejszy Październik

Dla Mazowieckiego Październik zaczął się rok wcześniej: gdy w 1955 r. wraz z kilkoma buntownikami wobec polityki Bolesława Piaseckiego zostaje zawieszony w prawach członka Stowarzyszenia PAX. Wraz z nim ukarani zostają m.in. Wojciech Wiczorek, Ignacy Rutkiewicz, Janusz Zabłocki i Tadeusz Myślik; wszyscy oni po kilku miesiącach definitywnie opuszczają PAX. Nazwano ich „Froncą”.

„Frondyści” przez jakiś czas szukają sobie miejsca, wkrótce zaś łapią wiatr w żagle i w październiku 1956 r. wraz z grupą rozwiązanego w 1953 r. „Tygodnika Powszechnego”, kilkoma działaczami dawnego Stronnictwa Pracy, kilkoma wykładowcami KUL-u i kilkoma indywidualistami (m.in. Jerzym Zawieyskim) zakładają Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej – protoplastę późniejszych KIK-ów.

Trudno przecenić znaczenie Października w dziejach PRL-u: państwo powszechnego terroru zostaje zastąpione państwem selektywnej represji; państwo wojującego komunizmu – państwem tolerującym różnice światopoglądowe, a w pewnej mierze nawet polityczne. Z perspektywy stalinizmu to nie było mało. Grupa katolików pragnących zaistnieć publicznie, ale działając nie na komendę partii komunistycznej, postanowiła spróbować tej szansy.

Stefan Kisielewski tak pisał w liście do Jerzego Giedroycia 9 września 1956 r.: „Oczywiście nie oznaczają one [zmiany, które następują – RG] likwidacji totalizmu – to sprawa na dziesiątki lat. (...) Rozsądni ludzie w Polsce są zgodni, że jeśli świat podzielił się na bloki, to miejsce nasze jest w bloku wschodnim, w sojuszu z Rosją. Ale chcielibyśmy w tym bloku wywalczyć sobie niezależność taką np. jak Tito. O to toczy się walka i w tym sensie ludzie z KC wcielają polską rację stanu, walcząc z Rosją o niezależność w ramach sojuszu. (...) Zachód nam nie daje nic, ani obiecuje (...), a utrata Ziemi Zachodnich byłaby końcem Polski. Zgnębone nędzą i totalizmem społeczeństwo tego nie rozumie, ale ludzie ciesząc się zaufaniem winni mu to uświadomić”.

Półtora miesiąca później następuje uwolnienie kardynała Wyszyńskiego, potem spotkanie delegacji OKPIK-u z Gomułką. Późną jesienią pada propozycja, aby OKPIK wystawił swoich kandydatów do Sejmu PRL. Oczywiście wybory odbywały się w formule jednej listy, a jej skład zatwierdzała PZPR. Ale w stosunku do okresu wcześniejszego był to wyraźny postęp. Nie była to demokracja, ale demokratyzacja – tak. Osoby wystawione przez OKPIK cieszyły się autentycznym poparciem swoich środowisk i w tym sensie był to wyłom w mechanizmie mianowania wszystkich posłów przez komunistów.

Zawieyski, Stomma, Turowicz i inni liderzy środowiska podejmują wyzwanie, 20 stycznia 1957 r. do Sejmu wybranych zostaje pięciu posłów: Stanisław Stomma, Jerzy Zawieyski, Stefan Kisielewski, Zbigniew Makarczyk i Antoni Gładysz. Utworzą Koło Posłów „Znak”.

Personalizm

Mazowiecki wtedy jeszcze nie kandydował. Zajął się tworzeniem Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, a potem warszawskiego miesięcznika „Więź”.

Opisując najkrócej program wczesnej „Więzi”, trzeba odwołać się do Emmanuela Mouniera i do jego personalizmu – koncepcji stawiającej na osobową godność człowieka, na jego indywidualną odpowiedzialność. Ale nie na indywidualizm. Przeciwnie, personalizm Mouniera (i Mazowieckiego) ma silne akcenty wspólnotowe, a nawet socjalistyczne.

W tekście „Dlaczego personalizm” Mazowiecki pisał: „prawdziwie bronić człowieka można tylko broniąc zarazem prawdziwego życia wspólnoty przeciw takim lub innym jej zniekształceniom i chorobom. I w tym zakresie postawa ugruntowana na indywidualizmie, na jego tendencji do odrywania człowieka od więzów ze wspólnotą, na okaleczaniu osobowości przez niezrozumienie jej znamienia społecznego, zawodzi na całej linii. Aby bronić się przed totalizmem, człowiek

nie musi wracać do indywidualizmu. (...) Tylko odpowiedzialność za społeczeństwo, za kształtowanie jego organizacji i instytucji tak, aby wspólnota społeczna umacniała rozwój i szacunek dla osobowości ludzkiej, która jedynie nadaje treść i wymiar całości społecznej – może przywrócić równowagę i zdrowie społeczeństwu i właściwe warunki rozwojowi osobowemu człowieka”.

Mazowiecki nie pisał tego na księżycu, lecz w Polsce gomulłowskiej, z czego jasno wynika, że krytycznie oceniał ówczesną rzeczywistość (użycie słowa „totalizm” nie wydaje się tu odnosić do jakiejś sytuacji teoretycznej, lecz do dziejącej się tu i teraz historii). Zarazem jednak jest to wyraźna opcja na krytykę wewnątrzsystemową, skoro poniżej czytamy: „Wydaje się, że nie można podejmować pracy nad wnoszeniem wartości osobowych w historię, rozmijając się z procesami, które w danej epoce ten ruch emancypacji ludzkiej wyrażają. Wówczas bowiem sprawa osobowości ludzkiej, sprawa jej wyrazu w stosunkach społecznych, umieszczona zostaje na ślepych torze, wśród sił, które nie mogą jej wnieść tam, gdzie naprawdę kształtuje się nowe oblicze rzeczywistości” (za książką „Rozdroża i wartości”).

Więcej niż Realpolitik

Ta opcja wewnątrzsystemowa była czymś więcej niż tylko Realpolitik, niż uznaniem, że w tych warunkach geopolitycznych nie ma innej możliwości, jak próba działania na własną rękę w obozie zwycięzców. Mazowiecki naprawdę doceniał zmiany cywilizacyjne, które się w Polsce dokonały po 1944 r. W tekście „Nowy pluralizm” pisał: „Przeobrażenia społeczne i cywilizacyjne wprowadziły miliony ludzi z zamkniętych społeczności wioskowych czy miasteczkowych do społeczności narodowej i umożliwiły im kontakt z nowoczesnym światem. (...) Klimat powszechnej chłonności kulturalnej, jaki te przemiany wytworzyły, stanowi w potencjale polskich możliwości jeden z najbardziej istotnych czynników”.

Mając afirmatywny stosunek do społecznej treści nowego ustroju, miał Mazowiecki w tym czasie tęgi kłopot z Kościołem polskim. Mierzył go jego konserwatyzm społeczny: „nie można zaprzeczyć, że w pierwszych latach powojennych, kiedy dokonywane były podstawowe reformy społeczne, jak nacjonalizacja przemysłu czy reforma rolna, Kościół stał praktycznie na pozycjach co najmniej niechętnych, jeśli nie wrogich reformom. Był w tym stanowisku również sprzeciw wobec władzy, którą uważał za narzuconą i ateistyczną, i były też ogromne elementy konserwatyizmu społecznego”.

Był więc Mazowiecki niewątpliwie lewicowcem i jako taki był postrzegany przez władze na przełomie lat 50. i 60. Dlatego gdy Stomma zgłosił jego kandydaturę przed wyborami 1961 r., Zenon Kliszko (wtedy najbliższy współpracownik Gomułki, faktyczny „numer dwa” w państwie) uznał, że to jest szansa na miarkowanie reakcyjnej – jak ją oceniano – linii Koła Posłów „Znak”. Tak Mazowiecki został posłem „Znaku” – obok Stommy, Zawieyskiego, Kisielewskiego i Konstantego Łubieńskiego.

Jednak już w swoim pierwszym wystąpieniu na forum Sejmu, w debacie nad ustawą o systemie oświaty, nowy poseł zawiódł nadzieje pokładane w nim przez partię komunistyczną. Mazowiecki skrytykował tę ustawę, która m.in. zakazywała nauczania religii w szkole. Religia wcześniej wróciła do szkół – na fali październikowej odwilży – ale zaraz komuniści rozpoczęli próby jej ograniczania, a docelowo – wyrugowania. Kościół nie ustępował, wspierany w tym często przez rodziców, dochodziło do lokalnych konfliktów.

Ustawa z 1961 r. kończyła sprawę definitywnie przez usunięcie religii ze szkół. Mazowiecki podważał jej podstawowy cel, który określono jako „kształtowanie naukowego poglądu na świat”, twierdząc, że jest to synonim materializmu dialektycznego, a więc kłóci się z zasadą świeckości szkoły jako instytucji, która nie dyskryminuje żadnego światopoglądu. Nadto zarzucił ustawie, że rugując religię nie zagwarantowała równocześnie prawa do jej nauczania w ośrodkach przykościelnych. Były to prorocze słowa, bo odtąd aż do końca

rządów Gomułki komuniści prowadzili politykę nękania punktów katechetycznych.

To odrębny temat, ale warto go zasygnalizować, bo łączy się on ściśle z osobowością Mazowieckiego. Na historię Koła Posłów „Znak” można patrzeć jak na rejestr prób zwasalizowania tej grupy politycznej przez władze. Bilans tych prób nie jest jednoznaczny, ale wypada się zgodzić, że z kadencji na kadencję władze zdobywały w Kole „Znak” coraz silniejszą pozycję. Po prostu skład Koła coraz bardziej wymykał się z ręki jego przewodniczącego, Stanisława Stommy, przez to, że władza nie zgadzała się na dopuszczenie do kandydowania jednych, a sufłowała wystawienie innych, uważanych za obiecujących z punktu widzenia jej interesów.

Wydaje się, że zgoda na kandydowanie Mazowieckiego w 1961 r. była wyrazem takich właśnie rachub. Tyle że on zawiódł te nadzieje. W 1961 r. generalnie afirmował ustrój, a nadto był pod wrażeniem jego przemian społecznych, a więc dobrze rokował z punktu widzenia władz. Ale jednego partia komunistyczna nie przewidziała: Mazowiecki był niesterowalny.

Przekraczanie kół

W 1962 r. Mazowiecki pisze tekst „Kredowe koła. List z pytaniem”.

Wychodzi w nim od konstatacji, że dla marksistów katolicy w Polsce są jak „ostatni Mohikanie” – tak czy inaczej skazani na wymarcie. „Rozumie Pan chyba – pisze autor do anonimowego, ale, sądząc ze sposobu, w jaki się do niego zwraca, wpływowego przedstawiciela obozu marksistowskiego – że nie jest przyjemnie czuć się częścią zamierającego rezerwatu”. Dalej stwierdza, że spojrzenie marksistów na religię, które wyraża się przez „werdykt sprawy załatwionej”, jest błędne: „Zamiast (...) przesądzać, jaką odpowiedź filozoficzną wybiorą nasze dzieci i wnuki, trzeba przede wszystkim odpowiedzieć sobie,

czy chce się, aby człowiek, tak dzisiejszy, jak i przyszedł, te problemy i pytania [metafizyczne – RG] sobie stawiał. Jest to sprawa należąca do dziedziny życia społecznego, ponieważ jego model i klimat może to ułatwiać lub utrudniać”.

Autor wyraźnie rozróżnia między marksizmem ortodoksyjnym a bardziej liberalnym (wtedy mówiło się: rewizjonistycznym) i zwraca swojego adwersarza do poczynienia podobnego rozróżnienia po stronie katolickiej: „A więc i Pan, i ja musimy odpowiedzieć, na co stawiamy. Pan musi wiedzieć, czy ja stawiam na humanistyczną ewolucję marksizmu, czy odwrotnie, łączę swe nadzieje z jego stagnacją i oderwaniem się od rzeczywistego rozwoju społecznego. Ja muszę wiedzieć, czy Pan stawia na trudny dialog z katolicyzmem pogłębionym i otwartym, czy na jego kołtunizację”.

Mamy więc do czynienia z nieśmiałą jeszcze, ale jednak próbą zbliżenia posoborowych katolików z rewizjonistycznymi marksistami. Jest rok 1962, 15 lat przed książką Adama Michnika „Kościół – lewica – dialog”.

Te dwa manifesty dzieli – oczywiście – epoka, a rolę najważniejszej cezury spełnią wydarzenia roku 1968: pacyfikacja studentów i intelektualistów w Polsce oraz „bratnia pomoc” czołgów Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. W 1962 r. mamy jeszcze myślenie wewnątrzsystemowe, w 1977 r. już antysystemowe. Ale coś istotnego je łączy.

Tekst kończy się wezwaniem do przekraczania granic swoich obowiązków. Jedność społeczna wymaga minimum zgody, m.in. co do pryncypiów ustrojowych, ale wymaga także „pewnego minimum wspólnoty głębszej, rodzącej się tam, gdzie zróżnicowanie nie oznacza oddzielonych od siebie obszarów, gdzie istnieje poczucie, że za tymi różnicami kryją się sprawy żywe, problemy i wartości najgłębiej ludzkie, wobec których jest się wzajemnie otwartym. (...) Tak więc i Pan, i ja możemy albo godzić się na kredowe koła, którymi oddzielają się obszary polskiej kultury, albo czynić wszystko, aby je przekroczyć”.

Solidarność z poniżanym

Tak więc Mazowiecki afirmuje system w 1957 r., gdy współzakłada KIK warszawski; w 1958 r., gdy zakłada „Więź”. W 1961 r., gdy przemawia w Sejmie na temat ustawy oświatowej, jest krytyczny, ale lojalny wobec ustroju. Podobnie w 1962 r., gdy pisze „Kredowe koła”.

To się przełamuje gdzieś w ciągu lat 60. Nie wiem, kiedy dokładnie, ale wiem, dlaczego: gdy Mazowiecki przekonuje się, że troska o człowieka (o której pisze od lat, jako o podstawowej powinności każdego chrześcijanina) nie tylko brutalnie zderza się z komunistycznym molochem, ale wręcz nie może się z nim nie zderzyć.

To przekonanie zapewne kiełkowało powoli, ale jego początki są obecne co najmniej od 1960 r., gdy Mazowiecki podkreśla uniwersalizm praw człowieka, uniwersalizm ludzkiej godności.

W tekście „Antysemityzm ludzi łagodnych i dobrych” naczelny „Więzi” zwraca uwagę na szerszy wymiar walki z antysemityzmem: stosunek do niego to także kwestia naszej własnej godności: „Zewnętrznie poniżony jest Żyd czy Polak pochodzenia żydowskiego. W istocie rzeczy poniża się ten, kto w XX wieku daje posłuch argumentom tak fałszywym i bezzasadnym. Dlatego walka z antysemityzmem nie jest żadną zasługą ani żadnym humanitarnym gestem litości; nie jest ona też tylko walką o godność Żydów, ale w równej mierze walką o naszą własną godność. Jest walką o godność wszystkich. Uogólnienie właściwe samej istocie antysemityzmu prowadzi bowiem poza pewien próg pojęć moralnych, którego człowiekowi przekroczyć nie wolno, jeśli nie ma się wszystko zawalić” („Więź” nr 5/1960).

W tekście „Spotkanie”, którego tytuł dotyczy historycznego spotkania chrześcijaństwa z komunizmem, jest mowa trochę o przekraczaniu własnych obozów światopoglądowych (jak w „Kredowych kołach”), a trochę o ogólnoludzkiej powinności walki o prawa wszystkich – nie tylko „swoich”: „Każde wielkie dzieło kultury i każdy wielki nurt ideowy przebija się przez granice własnego partykularyzmu ku sprawom

i wartościom powszechnym i wspólnym dla gatunku ludzkiego. (...) Kiedy np. mówię, że walczę o wolności religijne, powstaje od razu pytanie, które z tych słów ma dla mnie znaczenie pierwotne. Czy wolności religijne stanowią wartość dlatego, że dotyczą religii i tylko z jej znaczenia czerpią swoje uzasadnienie? Czy też jest inaczej: wolności religijne są dla mnie częścią ogólnych wolności obywatelskich, jakie przysługiwać powinny człowiekowi w społeczeństwie?” (z książki „Rozdroża i wartości”).

W eseju o Dietrichu Bonhoefferze (niemieckim teologu ewangelickim i przeciwniku Hitlera, zamordowanym przez nazistów w 1945 r.) poseł Mazowiecki zadaje pytanie, dlaczego Kościoły chrześcijańskie w Niemczech doby nazizmu nie zdały egzaminu. Oto odpowiedź: „nauka, ba, cały wstrząs, który budzić musi świadomość chrześcijańską, bierze się stąd, że zawód tamtego okresu ukazuje, jak dalece Kościół może zostać pokonany moralnie, jeśli uczyni się sam wartością nadrzędną i jeśli nie sprostą wymogom ludzkiej solidarności, oczekiwanej od chrześcijaństwa zawsze przez tych, którzy cierpią i są poniżeni. Kościoły niemieckie nie sprostały wówczas sytuacji nie dlatego, że były słabe instytucjonalnie, lecz dlatego, że w zbyt wielu sytuacjach krańcowych obronę własnych możliwości działania przedłożyły nad obronę zasad; nie dlatego zawiodły, że były wkorzenione w życie i tradycje swego narodu, ale dlatego, że zapoznały, iż chrześcijaństwo nie pozwala iść bezkrytycznie za tradycją narodową, lecz wymaga i wystąpienia przeciwko niej, gdy odzywa się to, co jest w niej mroczne”.

To bardzo ważny tekst: wezwanie do Kościoła instytucjonalnego, ale i do świeckich o zaangażowanie na rzecz ludzi pokrzywdzonych. Podsumowując refleksje nad świadectwem danym przez Bonhoeffera, Mazowiecki pisze: „nie sposób przejść nad pytaniem, czy stać nas na ten wymiar solidarności z ludzkim losem i na tę miarę odczucia Boga [które okazał Bonhoeffer – RG]. Czy słyszysz, samotny chrześcijaninie pełen pytań i zwątpienia? Bóg ma jakieś zamysły co do ciebie. Bądź gotów i uważaj. Nie zapominaj, nawet gdy twoja słabość niemal cię łamie, że On ma w stosunku do ciebie plany olbrzymie, niesłychane.

Będzie z tobą” („Nauczył się wierzyć wśród tęgich razów”, „Więź” nr 12/1971).

Po Marcu 1968 r., po Czechosłowacji 1968 r., po Grudniu 1970 r. – to musiało brzmieć bardzo mocno.

Wykluczony, ale obecny

Dla partii komunistycznej takie wezwania brzmiały po prostu groźnie.

Tekst o Bonhoefferze ukazał się pod koniec 1971 r., zaś na początku 1972 r. toczyły się konsultacje w sprawie kandydatów środowisk „Znaku” do kolejnego Sejmu. Już w 1969 r. Kliszko domagał się od Stommy wycofania kandydatury Mazowieckiego, ale przewodniczącemu Koła udało się jeszcze redaktora „Więzi” wybronić. W 1972 r. Stomma znowu wystawił Mazowieckiego, ale tym razem natrafił na twarde sprzeciw i ustąpił.

Zresztą, ten moment to w dziejach ruchu „Znakowego” punkt w pewnym sensie przełomowy. Tym razem bowiem władzom udało się – nie bez udziału części ludzi ze „Znaku” – tak manewrować procedurą ustalania kandydatur, że koniec końców pięciu kandydatów na posłów okazało się w niewielkim stopniu reprezentatywnymi dla całego ruchu. I nie chodzi tu tylko o to, co pokazała przyszłość (a pokazała osamotnienie Stommy w 1976 r. w Kole, którego był nominalnie przewodniczącym, gdy przyszło mu wstrzymać się od głosu nad zmianą konstytucji PRL, wprowadzającą zapis o „przyjaźni” z ZSRR), lecz o rozgrywanie sprawy przez PZPR i przez współpracujących z nią skrycie Zabłockiego i Łubieńskiego – na szkodę większości „Znaku”.

W tych warunkach utracenie kandydatury Mazowieckiego było tylko częścią większej całości. Wiadomo, że wykluczenie w 1969 r. Zawiejskiego było przez głównego zainteresowanego odebrane boleśnie. Ciekawe, jak Mazowiecki odbierał swoje wykluczenie w roku 1972?

W pytaniu tym nie chodzi o stan emocjonalny człowieka, którego partia przegnała z prestiżowej w PRL-u i dobrze płatnej posady. Może i bolało, ale nie to jest najważniejsze. Bo wydaje się, że w dziejach PRL-u rok 1969 oddziela od roku 1972 politycznie więcej niż tylko kalendarzowe trzy lata. Tam była Polska Gomułki, który stłumił Marzec, tu Polska Gierka, który zaczął swe rządy od odwilży, a jeszcze nie czuł się mocno. I bodaj nigdy nie miał się tak poczuć. Cała różnica polegała na tym, że w 1972 r. zaczynają się już w Polsce procesy, które miały gruntownie zmienić ten kraj. Nikt nie wiedział wtedy, jak bardzo ani jak szybko te zmiany nastąpią, ale było już jednak wyczuwalne, że inny jest klimat polityczny.

Kościółowi nadano prawo własności nieruchomości na Ziemiach Zachodnich, umorzono część zaległości podatkowych, przestano nękać księży prowadzących punkty katechetyczne i odrobinę odblokowano budownictwo sakralne. Na innych polach też coś drgnęło. Mniej dlatego, że nowa ekipa była tak liberalna (jakkolwiek różnica stylu z ekipą Gomułki była wyczuwalna). Bardziej dlatego, że zmienił się kontekst społeczny. Kilka lat później w podziemnych publikacjach tę zmianę kontekstu nazwano by już oporem społecznym.

Ale to za kilka lat. Tymczasem w Kościele wyrosło nowe pokolenie niepokornych biskupów (Wojtyła, Tokarczuk), Prymas Wyszyński przestał być tak osamotniony, jak był dawniej. Masowość, ludowość tego Kościoła pokazała swoją siłę w 1966 r. Ale budził się też laikat, tworzony głównie przez katolicką inteligencję. Duchowość Lasek, niewątpliwy sukces duszpasterstw akademickich, intelektualne oddziaływanie „Więzi”, miesięcznika „Znak” czy „Tygodnika Powszechnego” – wszystko to tworzyło nowy potencjał polskiego katolicyzmu, bardziej świadomego swych praw i swych powinności.

Zawieskiego wyrzucono z Sejmu w Polsce z przetrąconym kręgosłupem. Mazowieckiego wyrzucono w Polsce, która wstawiała już z kolan. Partia zapewne liczyła, że usuwając Mazowieckiego z parlamentu usunie go też z życia publicznego. Otóż tu się – znowu – pomyliła.

A pomyliła się, bo Mazowiecki nie był partyjnym mianowalcem,

lecz miał za sobą środowisko. Środowisko zaś miało tę cechę, która w pismach politycznych Mazowieckiego często powraca w skromnym słowie „autentyczność”. Autentyczność jest wtedy, gdy nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia (cenzura, przydziały papieru, arbitralne podatki itp.) grupa ludzi zachowuje wobec siebie lojalność, a w ewentualnych sporach nie szuka arbitra w czynnikach zewnętrznych. W tym sensie nieautentycznymi okazywały się w PRL-u te grupy, które szukały arbitra w PZPR (czasem też – niejawnie – w SB). Bo partia rządząca chętnie podejmowała się takiego arbitrażu na zasadzie *divide et impera*.

„Więź” i KIK warszawski nie dały się podzielić. W kwietniu 1972 r. usunięto z władz Klubu za nielojalność posłów Wacława Auleytnera i Konstantego Łubieńskiego, zaś były poseł Mazowiecki pozostał nadal naczelnym „Więzi”, a jego autorytet w redakcji i w Klubie zyskał na całym tym zamieszaniu. Zwyciężyła autentyczność.

Owszem, chodziło w tym momencie o jedno warszawskie środowisko. Ale totalitaryzm ma się naprawdę dobrze, gdy nie toleruje w swoim łonie żadnych enklaw. Polski komunizm był więc sobą naprawdę w roku 1953, kiedy zwasalizował nawet Episkopat. Potem Kościół odzyskał autentyczność, a za nim stopniowo niektóre elitarne środowiska. Awantura w Klubie warszawskim w 1972 r., a szczególnie jej finał, była może drobnym, ale ważnym momentem w dziele upodmiotowienia polskiego społeczeństwa.

W tekście „Powrót do najprostszych pytań” Mazowiecki pisał: „Z najtrudniejszego doświadczenia wyniosłem myśl, którą potem zanotowałem w swoich zapiskach. Chcę ją tu powtórzyć. Pytania, na które nie ma odpowiedzi – zapisałem – rozwiązujemy nie przez wyjaśnienie ich, ale przez postawę wobec nich”.

Autor odnosił ten sposób rozumowania także do spraw publicznych. I kontynuował: „Szósta dekada naszego wieku zamknęła się kryzysem wiary w ewolucję struktur (...). Na tym tle zwrot ku najprostszym wartościom jest odruchem autentyzmu”. Taka postawa to „weryfikacja tego, z czym właściwie jestem solidarny w swojej »ga-

tunkowej ludzkiej istocie«, w moim chceniu i niechceniu, w moich dezaprobatach i moich wiernościach, w moim odpowiadaniu na pytanie »po co«. A więc może być również rozumiana jako zaproszenie do zdania sobie sprawy także z granic bezradności”.

Mazowiecki nawiązywał do Mouniera i pisał: „Przytaczam te słowa, ponieważ sądzę, że personalizm zaznaczył się w naszym życiu znacznie bardziej jako intencja (...). Gdyby ta intencja nie była autentyczna, nie mogłaby służyć zakopywaniu rowów, gdyby pewnego dnia stała się martwa, przestałaby budzić pokrewieństwo myśli i dążeń ze wszystkimi, którzy mają się obrony słabych” („Więź” nr 2/1973).

Mamy dopiero rok 1973, ale to już jest zapowiedź rodzącego się ruchu drugiej połowy lat 70.; ruchu ludzi dobrej woli (przeważnie katolików albo byłych rewizjonistów) złączonych imperatywem pomocy potrzebującym, w tym prześladowanym przez władze komunistyczne. To już jest myślenie z ducha Towarzystwa Kursów Naukowych, z ducha KOR-u, z ducha głódówki w kościele św. Marcina. To myślenie zaowocuje kilka lat później – po wyborze Jana Pawła II, który zapewne odegrał rolę katalizatora przemian – „Solidarnością”.

W 1978 r. w artykule „Chrześcijaństwo a prawa człowieka” Mazowiecki napisał: „Myślę, że motywy obrony praw człowieka, uniwersalna i solidarna z innymi ludźmi perspektywa patrzenia i zaangażowania się w tę obronę, pozostawać muszą podstawowym składnikiem wrażliwości chrześcijańskiej” („Więź” nr 2/1978).

Jeszcze dobitniej zabrzmiał jego głos na zakończenie sesji KIK-u warszawskiego – 16 października 1977 r., a więc rok przed wyborem Jana Pawła II – o prawach człowieka, kiedy Mazowiecki dowodził, że w istniejących warunkach zaangażowanie Kościoła w ich obronę musi mieć także wymiar polityczny „nie w znaczeniu gry, lecz w znaczeniu moralnym – świadczenia wartościom – co zawiera głębsze rozumienie polityki i zaangażowań politycznych”.

Także kiedy nawoływał do tworzenia swoistej „infrastruktury praw człowieka”: „Tworzeniem tej infrastruktury zajmowaliśmy się przez lata. Tworzy ją Kościół w sobie właściwy sposób, i to jest działanie

w zasięgu swym najszerze. Tworzą je od lat pisma i środowiska takie jak nasze. Tworzą je środowiska i indywidualni ludzie w dziedzinie nauki, kultury tam wszędzie, gdzie to działanie jest autentyczne, prawdziwe, a jeśli nawet cenzurowane i nie całkiem wolne zewnętrznie, to jednak poczęte z wewnętrznej wolności i będące jej wyrazem”. I ostatni akcent: „Dobrze, że jest konferencja belgradzka, dobrze, że w świecie mówi się o prawach człowieka. Ale liczyć musimy przede wszystkim na siebie: decydujące jest to, czym jest i jakie będzie społeczeństwo polskie. A realizacja, ciągła, nieustanna realizacja odpowiedzi na to pytanie zaczyna się u każdego od tej najprostszej zasady, którą Zbigniew Herbert wyraził w »Panu Cogito«: »Wstań i idź prosto. Czuj się wolny. Bądź wierny. Idź.«, („Spotkania” nr 3/1978).

Owoce

Wszystko, co wydarzyło się potem – a w życiu Tadeusza Mazowieckiego i w splecionej z nim polskiej historii wydarzyło się potem doprawdy niemało – było już w jakimś sensie owocem opisanych tu zmagają.

Było przecież czymś oczywistym, że strajkujący robotnicy Wybrzeża proszą Mazowieckiego, aby w sierpniu 1980 r. przewodniczył zespołowi ekspertów przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym. Dlaczego nie poprosili Jerzego Ozdowskiego albo Janusza Zabłockiego? Przecież to tamci mieli być realistami politycznymi, dalekosiężnymi strategami – podczas gdy Mazowiecki miał być tylko lekko nawiedzonym pięknoduchem. Nie uprawiam tu ironii, zaznaczam tylko siłę tego paradoksu historycznego, który sprawił, że sukces – przynajmniej raz! – odnieśli ludzie niepraktyczni, ludzie z zasadami.

Było też czymś oczywistym, że Mazowiecki został jesienią 1980 r. naczelnym redaktorem „Tygodnika Solidarność” i jednym z najważniejszych doradców Lecha Wałęsy.

Nikogo chyba nie zdziwiło, że Mazowiecki przetrwał trudy internowania i pokusy czasów „normalizacji” politycznej po polskim

„karnawale 16 miesięcy wolności”, że nie skusił się także później, kiedy nadzieja zdawała się upadać, i nie wszedł do żadnej dekoracyjnej struktury przy Wojciechu Jaruzelskim.

Było więc oczywiste, że to Mazowiecki odgrywa ważną rolę w Komitecie Obywatelskim przy przewodniczącym (podziemnej jeszcze) „Solidarności” i potem w obradach przy Okrągłym Stole.

Kto w 1989 r. pamiętał „Kredowe koła”, ten nie zdziwił się bardzo widząc, jak Mazowiecki rezygnuje z kandydowania do Sejmu. Chodziło o zakres pluralizmu „drużyny Wałęsy”: Mazowiecki uważał, że Wałęsa idzie zbyt wąskim nurtem, nieadekwatnym do zróżnicowania polskiej rodzącej się sceny politycznej. Odmówił w tym udziału. Bo Mazowiecki strasznie wprawdzie lubi politykę, ale nie jest jej więźniem, wie, kiedy „trzeba wstać i wyjść” (jak śpiewał Młynarski). Wtedy po prostu wychodzi.

Wychodzi się w takich razach nie w oczekiwaniu nagród. Ale czasem bywa, że los wynagradza pryncypializm. Mazowiecki rezygnuje wiosną 1989 r. z kandydowania do Sejmu, a późnym latem zostaje desygnowany na premiera.

Była w tym jakaś sprawiedliwość, ale nie o sprawiedliwość przecież chodziło. Chodziło o to, by w tym wyjątkowym momencie premierem został ktoś, kto ma godziwą biografię polityczną w Polsce i solidną pozycję w społeczności międzynarodowej. Ktoś, kto jest z „Solidarności”, a jednocześnie rozumie, że Polska stoi wobec wyzwań, których nie rozwiąże inaczej, jak radykalnymi cięciami w polityce makroekonomicznej.

Mazowiecki spełniał te wymagania.

Kto go znał, dziwił się może trochę, że w 1990 r. startuje do walki o prezydenturę przeciw Wałęsie. Kto widział przenikliwiej niż dwór, musiał wiedzieć, że ta walka nie może się dobrze skończyć ani dla premiera, ani dla Polski. Ale ktoś, kto go dobrze znał, chyba znowu się nie zdziwił, kiedy nazajutrz po klęsce Mazowiecki ogłosił swoją i rządu dymisję. Poważny polityk musiał tak postąpić. Wyniknął z tego taki chociaż pożytek, że przez kilka lat Polska miała poważną

partię polityczną wpływającą i na styl rządzenia (rzadziej), i na styl uprawiania opozycji. Także rola przewodniczącego nieco staromodnej i mało skutecznej, ale przynajmniej sympatycznej partii w sposób naturalny przypadła Mazowieckiemu – spinaczowi.

Nie było też nic nadzwyczajnego, że Mazowiecki podjął się w 1992 r. niezwykle trudnej misji specjalnego sprawozdawcy Komisji Praw Człowieka ONZ w byłej Jugosławii. Nie było nic dziwnego, że naraził się wszystkim stronom tamtego konfliktu, kiedy oskarżał tak Serbów, jak Chorwatów, a także Bośniaków o łamanie praw człowieka w stosunku do swoich przeciwników. W końcu nikt się chyba nie zdziwił, kiedy w 1995 r. – widząc opieszałość społeczności międzynarodowej we wdrażaniu wniosków z jego kolejnych raportów – nie chciał dłużej tkwić na stanowisku, które zamieniało się w wygodne alibi dla tejże społeczności.

A w kraju? Kiedy sypał się kompromis konstytucyjny w 1997 r., po kogo sięgnięto? Po Mazowieckiego. Kiedy polska polityka unijna oszalała („Nicea albo śmierć!”) i trzeba było pokazać Europie, że są też u nas ludzie poważni, którzy postrzegają Unię jako wspólnotę rządzącą się kompromisem, znowu poproszono Mazowieckiego. Podobnie wtedy, gdy zagrożony był pozytywny wynik referendum akcesyjnego.

Zauważmy: spośród byłych premierów tylko Mazowiecki cieszy się niekwestionowanym autorytetem. Czy tylko dlatego, że był pierwszym premierem niekomunistycznym?

Autorytet to jest coś, co się wypracowuje, zdobywa. Owszem, pracą i wytrwałością, wiedzą i doświadczeniem, ale najbardziej liczy się co innego: autentyczność.

Korzystałem m.in. z następujących pozycji: Andrzej Friszke „Koło postów »Znak« w Sejmie PRL 1957–1976”; Andrzej Micewski „Współbrządzić czy nie kłamać? PAX i Znak w Polsce 1945–1976”; Antoni Dudek, Ryszard Gry z „Komuniści i Kościół w Polsce (1945–1989)”; Tadeusz Mazowiecki „Rozdroża i wartości”; Tadeusz Mazowiecki „Druga twarz Europy”; Tadeusz Mazowiecki „Kredowe koła i dwa inne eseje”.

Dyskusja

Andrzej Wielowieyski

Pragnę uzupełnić bądź zaakcentować pewne kwestie poruszone w cennych wypowiedziach naszych panelistów. Postawmy „kropkę nad i” – dotykamy bowiem podstawowych, najważniejszych spraw funkcjonowania demokracji. Istnieją dwa rodzaje demokracji: demokracja przedmiotowa oraz demokracja podmiotowa – demokracja obywatelska, w której obywatel jest podmiotem. Przeważająca część państw członkowskich Rady Europy oraz wszystkie państwa Unii Europejskiej przyjmują jako zasadę priorytet obywatela. Wedle tej zasady system demokratyczny jest ustrojem obywateli, oni są pierwszą wartością, są suwerenni. Często jednak występują układy czy systemy demokratyczne, które są postrzegane nie jako demokracja obywateli, ale jako demokracja klientów oraz oligarchów, którzy z tymi klientami się zadają, manipulują nimi, zdobywają ich, kupują. Istnieje więc demokracja obywatelska i demokracja klientelistyczna. Uważam, że z panem Tadeuszem Mazowieckim jako premierem dokonaliśmy zasadniczego zwrotu, niezależnie od wydarzeń w 1989 roku, wyborów oraz tego, co było potem. Ów zwrot polegał na rozpoczęciu prac nad zasadami funkcjonowania samorządu terytorialnego w Polsce (tzw. ustawą samorządową), co znacznie przyczyniło się do ożywienia życia obywatelskiego.

Chciałbym teraz odpowiedzieć na pytanie, jakie warunki muszą zostać spełnione, aby obywatel rzeczywiście był podmiotem. Pro-

fesor Jerzy Ciemniewski mówił o stereotypie wszechmocnej władzy wykonawczej jako gwaranta dobrego państwa, o postrzeganiu siły państwa przez pryzmat siły, kompetencji i prerogatyw tej władzy. Jest znamienne, że w jednej z homilii wygłoszonych przed laty do mieszkańców Ameryki Łacińskiej Jan Paweł II sformułował kryterium postępu społecznego w polemice z często występującymi wówczas u Latynosów doktrynami bezpieczeństwa narodowego, w których bardzo był podkreślany element silnej władzy. Papież się temu przeciwstawił, proponując jako kryterium postępu społecznego obywatelskość. Sformułował to mniej więcej tak, że postęp społeczny następuje wówczas, gdy obywatelom poszerza się możliwość działania oraz podejmowania decyzji w sprawach własnych i w sprawach społeczności.

Pragnę jednak zwrócić uwagę, że samo poszerzenie możliwości nie wystarcza. Obywatel bowiem musi bowiem chcieć i umieć korzystać z tych możliwości. Jest to wielkie wyzwanie także dla Polski. Rada Europy ogłosiła rok 2005 Rokiem Edukacji Obywatelskiej. Szeroko pojęta edukacja obywatelska jest bardzo istotna, ponieważ obywatele kształtują się pod wpływem potocznego doświadczenia, tego, co się dookoła nich dzieje – albo interesują się otaczającym światem, przyjmują postawę aktywną i stają się podmiotami, albo się zniechęcają, pasywizują, ustępują pola. Należy pilnie szukać odpowiedzi na pytanie, co trzeba zrobić, żeby obywatele byli aktywniejsi. Bardzo istotna jest tu edukacja młodego pokolenia, która wymaga zarówno korekt ustawowych i programowych, jak i zmiany sposobu podejścia oraz metod. Przyszłość demokracji w dużej mierze zależy od tego, czy w edukacji obywatelskiej młodemu pokoleniu zostanie zapewnione doświadczenie kontaktu z życiem publicznym, doświadczenie uczestnictwa, a także dobre wzorce. Wówczas być może ukształtują się lepsi od nas, bardziej podmiotowi obywatele.

Ewa Łętowska

Jak uczą na lekcjach fizyki, jeśli się ma ciężar do przesunięcia, to można się ustawić za tym ciężarem i go pchać, można także ustawić się z przodu i go ciągnąć, ale wtedy potrzeba siły na miarę tego ciężaru. Można jednak również – uczyli mnie tego na lekcjach fizyki bardzo dawno temu – rozłożyć tę siłę na kilka sił i w efekcie ów ciężar się przesunie łatwiej, nakładem mniejszej siły, po odpowiednich wektorach. W społeczeństwie jest tak samo. Można chcieć zrobić wszystko samemu, można jednak też, korzystając z uroków organizacji społeczeństwa partycypacyjnego, zrobić tak, że przyłożą się kilka różnych sił, połączy je, i wtedy ciężary, które trzeba gdzieś przesunąć albo popchnąć, łatwiej pojedają same. Tyle tylko, że ma to pewien koszt: najpierw trzeba znaleźć te siły, następnie należy przyłożyć je do ciężaru, a potem ma się ten efekt, że straciło się trochę na czasie, bo gdyby się zaczęło samemu pchać, to może by od razu się popchnęło prosto i daleko. Ponadto nieco się traci na efekcie – w tym znaczeniu, że ciężar pchany przesuwa się do przodu szybciej, a ciężar ciągnięty przez kilka wektorów – wolniej, mniej spektakularnie. Odnosząc się do wypowiedzi profesora Andrzeja Friszke poświęconej pierwocinom osvajania ludzi ze społeczeństwem obywatelskim przez pana Tadeusza Mazowieckiego w latach siedemdziesiątych, można stwierdzić, że między opisanym zjawiskiem fizycznym a kształtowaniem się społeczeństwa obywatelskiego występuje podobieństwo. Paralela, o której powiedziałam, jest dosyć trafna, gdy chodzi o układ stosunków w Polsce, bo problemem jest u nas to, żeby, po pierwsze, znaleźć siły, po drugie, żeby je zaprząć, po trzecie zaś – żeby mieć wystarczającą cierpliwość, nie zniechęcać się faktem zmarnowania sił na poszukiwanie koalicjantów do popychania ciężaru, który mamy przesunąć, a także tym, że to przesunięcie będzie mniejsze niż wówczas, gdyby dokonywało się tego samemu. Na tym polega pasywizm polskiego społeczeństwa, o którym mówili paneliści. W związku z tym uważam, że najwięk-

szą zaletą myśli Tadeusza Mazowieckiego jest zwrócenie uwagi na dynamiczny charakter społeczeństwa, który pozwala na osiąganie różnych celów nie tylko w łatwiejszy sposób mniejszym nakładem sił, ale przede wszystkim w sposób bardziej powszechny, bo osiągnięcie tych celów następuje poprzez mechanizmy partycypacyjne.

Tkwi w tym jednak również pewne niebezpieczeństwo, na które chciałabym zwrócić uwagę. Tytułem naszej konferencji, powtórzonym za tytułem wykładu pana premiera Tadeusza Mazowieckiego, jest pytanie „Kim jesteś, obywatelu?”. Niedawno rozmawiałam na temat tej konferencji z pewną bardzo miłą i mądrą panią, która, usłyszawszy jej tytuł, stwierdziła: „No dobrze – «obywatelu», a gdzie «obywatelko?»”. Pomyślałam, że ta wątpliwość może być uzasadniona. Ponieważ z wykształcenia jestem prawnikiem-cywilistą, zawsze wychodzę z założenia, że należy wszystko przyjmować z domniemaniem dobrej wiary. Prawdopodobnie w ten sam sposób można ująć problem partycypacji kobiet, o którym jest mowa m.in. w różnych programach unijnych. Można zatem postrzegać tę kwestię następująco: dają nam miejsce uniwersalne, język polski jest bowiem taki, że dla męskich końcówek różnego rodzaju rzeczowników zawłaszczył sobie przymiot uniwersalizmu, cóż więc może być miłszego niż to, że jest się traktowanym uniwersalnie. Jest to również moim udziałem, i to właśnie przesłanie dedykuję pani, z którą rozmawiałam na temat dzisiejszej konferencji.

Andrzej Murzynowski

Jako zwolennik prowadzenia dialogu w naszym społeczeństwie, chciałbym podkreślić, iż aby ów dialog był skuteczny i twórczy, trzeba obywatela odpowiednio szanować. Nawiązuję tutaj do art. 30 Konstytucji RP, który wprowadza zasadę szanowania godności człowieka i obywatela oraz w tym kontekście chciałbym poruszyć kwestię domniemania korzystnego dla obywatela. *Praesumptio boni*

virī trzeba traktować jako zasadę, która ma znaczenie nie tylko dla ukształtowanej zasady domniemania niewinności w postępowaniu karnym, ale także która odnosi się do obywatela we wszystkich sytuacjach, zakładając, że jest on uczciwy. Oceniając z tego punktu widzenia różne współczesne fakty i niedobre poczynania, muszę stwierdzić, że sprzeczne z tym jest naruszanie zasady domniemania niewinności wtedy, kiedy sprawa dopiero zaczyna być rozpoznawana. Już uczeni dziewiętnastowieczni mówili, że prawo karne materialne jest dla przestępców, a prawo karne procesowe – dla ludzi uczciwych. Praktyka wykazuje, że jeżeli w oficjalnych wypowiedziach czy publikacjach reaguje się w sposób niezgodny z zasadą domniemania niewinności, jeśli opiera się wygłaszane opinie na pomówieniach albo przypadkowych informacjach, to niszczy się fundamenty rozwoju demokracji.

Obecnie, niestety takie zjawisko występuje. Na przykład w tzw. ustawie lustracyjnej traktuje się w jednakowy sposób osoby, które odmówiły złożenia oświadczenia lustracyjnego z osobami, które współpracowały ze Służbą Bezpieczeństwa. Tymczasem odmowa złożenia takiego oświadczenia może wynikać z poczucia godności. Żądanie złożenia oświadczenia (często po raz wtóry) od osób, których działalność była chwalebna, które, narażając się na różne niebezpieczeństwa, działały na rzecz środowiska, obrony wartości, obrony ludzi wówczas represjonowanych – wśród tych osób są m.in. profesorowie Hanna Świada-Ziemia i Janusz Grzelak, których ówczesną działalność na Uniwersytecie Warszawskim doskonale pamiętam – stanowi pogwałcenie godności tych ludzi, a zarazem jest przeciwne zasadzie domniemania uczciwości obywatela. Posuwając się tą drogą, nie będziemy tworzyli konstrukcji pozytywnych.

Zjawiskiem, które bardzo mnie niepokoi jest również fakt, że bardzo często – lekkomyślnie czy też rozmyślnie – rozpowszechnia się niesprawdzone wiadomości („przecieki”), które godzą w poczucie godności poszczególnych jednostek. Po prostu na podstawie niesprawdzonych wiadomości „puszczane są w obieg” nazwiska.

Doszukiwanie się w każdym przede wszystkim negatywnych cech (urojonych bądź rzeczywistych) nazwałem kiedyś „wirusem Urbana”. Obecnie ten „wirus” zaczyna się rozprzestrzeniać. Jego ofiarami stali się m.in. podsekretarz stanu w Gabinecie Prezydenta, pan Andrzej Krawczyk oraz były szef Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, pan Andrzej Grajewski. Z dużym uznaniem i szacunkiem odnoszę się do pana premiera Tadeusza Mazowieckiego, który nie dał się zwieść informacjom o pani Małgorzacie Niezabitowskiej.

Kiedy byłem przewodniczącym Komisji ds. Osób Pozbawionych Wolności, przychodzili do mnie ludzie, aby się poradzić, co mają czynić. Pewnego razu młoda studentka z płaczem pytała się, co ma robić, bo w komendzie policji została zmuszona do podpisania dokumentu o współpracy, a nie chce tej współpracy prowadzić. Powiedziałem jej: „Niech pani natychmiast do nich pójdzie i oznajmi, że ja powiedziałem, iż wymuszenie takiego oświadczenia groźbą czy w jakikolwiek inny sposób jest nieważne i że pani wycofuje swój podpis”. Osoba ta zrobiła tak, jak jej poradziłem, ale na komendzie powiedzieli jej: „Niech pani się teraz uczy procedury karnej, a w przyszłości na ten temat jeszcze porozmawiamy”. Przychodzili do mnie też profesorowie, aby spytać, co robić, gdy Służba Bezpieczeństwa zaprasza ich na rozmowy w związku z wyjazdem za granicę. Odpowiadałem, że taki wyjazd jest bardzo ważny, zarówno dla Polski, jak i dla rozwoju naukowego danej osoby, radziłem, aby szli na rozmowy, ale mówili o rzeczach obojętnych.

Pragnę zatem jeszcze raz podkreślić, że została stworzona sytuacja, w której kilkaset tysięcy ludzi może być odczuwać lęk, iż na podstawie niesprawdzonych bądź niepełnych informacji padną wobec nich niesprawiedliwe zarzuty. Ludzie niegodziwi zaś, którzy współpracowali dla kariery, dla pieniędzy, będą mieli poczucie, że znajdują się w liczonym, dobrym towarzystwie. Ponadto każdy przypadek należy traktować indywidualnie, gdyż wówczas łatwiej jest zrozumieć i sprawiedliwie ocenić np. postępowanie pana Andrzeja Krawczyka.

Wydaje mi się, że trzeba w odpowiedni sposób traktować nie zawsze udane przepisy prawne. Dużej miary uczony, profesor Bronisław Zieliński, wskazał, że prawnicy nie mogą operować tylko pojęciem jednej normy prawnej, uważając, że *clara non sunt interpretanda*. Jeżeli jakiś pojedynczy przepis – często dotyczący kwestii formalnych, porządkowych – jest sprzeczny z aksjologią całego systemu prawnego, to trzeba ten przepis interpretować w kierunku aksjologii przepisów szerszych. Nawet tak bardzo przywiązany do wykładni gramatycznej profesor Stanisław Śliwiński – gdy w 1932 r. umieszczono w *Kodeksie postępowania karnego* przepisy o uproszczeniu i przyspieszeniu procesu postępowania, wprowadzające prekluzję zgłaszanych wniosków dowodowych przed rozprawą – stwierdził, iż nie można tego przepisu stosować w taki sposób, w jaki brzmiałby on tylko w obszarze owej normy, bo byłoby to sprzeczne z prawdą materialną, która ma charakter obowiązujący wszystkich sędziów. Jeżeli zatem w ostatnich wyborach do samorządów zdarzały się pewne naruszenia porządkowe (np. kilkudniowe spóźnienie ze złożeniem oświadczenia majątkowego), to przecież stosowanie z tego powodu tego przepisu wyłącznie porządkowego, formalnego, przeciwko meritum zagadnienia, że ktoś został wybrany, jest pewnym nonsensem. Jeśli ktoś już raz złożył oświadczenie o tym, że nie współpracował w sposób niejawny z organami bezpieczeństwa, to powinno wysokim organom wystarczać, nie powinny żądać takiego oświadczenia wielokrotnie, przy różnych okazjach. Trzeba bowiem szanować godność obywateli, ponieważ tylko tak traktowani będą mogli więcej z siebie dać dla pożytku i rozwoju państwa demokratycznego.

Hanna Machińska

Chciałabym się z Państwem podzielić bardzo świeżym doświadczeniem. Na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowaliśmy ostatnio, razem z Radą Europy, konferencję poświęconą

mediacji. Zgromadziliśmy na sali wybitnych ekspertów z całej Europy oraz przedstawicieli państw, które dopiero wprowadzają alternatywne sposoby rozstrzygania sporów. Dyskutowaliśmy przede wszystkim o mediacji w sprawach administracyjnych. Tym, co mnie uderzyło, co było dla mnie wręcz porażające, był fakt, iż przedstawiciele państw członkowskich Unii Europejskiej – Wielkiej Brytanii, Francji, Austrii – podkreślali, że mediacja jest czymś oczywistym, że stanowi wyraz uznania dla dialogu, dla pozycji określonych grup społecznych, że jest nieodłączną częścią procesu podejmowania decyzji, wynikającą z poszanowania praw jednostki. Podkreślano również, że aby wdrożyć mediację, musi istnieć odpowiedni klimat – władza powinna rozumieć istotę mediacji oraz zdawać sobie sprawę, że tylko w taki sposób można rozwiązywać konflikty pojawiające się w każdym społeczeństwie. Prezentowano nam różne rozwiązania instytucjonalne, wskazywano na rolę urzędu rzecznika, który w wielu państwach cieszy się wielkim uznaniem. Udowodniano również, że mediacje są metodą tańszą i skuteczniejszą, że obie strony są zadowolone, że doskonała jest umiejętność dialogu między władzą a społeczeństwem.

Gdy słuchałam tych wypowiedzi, miałam bardzo smutne refleksje. Smutno mi było zwłaszcza wówczas, gdy profesor Zbigniew Kmiecik, autor monografii na temat mediacji w prawie administracyjnym, odwołał się do artykułu w „Polityce”, poświęconego konfliktom pojawiającym się w Polsce. Wymowa tego artykułu jest jednoznaczna – jesteśmy specjalistami od tworzenia konfliktów, ale nie umiemy i nie chcemy ich rozwiązywać. Problem nie polega zatem tylko na nieumiejętności, ale przede wszystkim na tym, po prostu nie chcemy. Przypomina mi się zupełnie nieodległa historia, która mną wstrząsnęła. W biurze Rady Europy przygotowywano ugodę w sprawie *Broniowski przeciwko Polsce*, która toczyła się przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Przygotowując ugodę, postanowiono, że w sprawie utraconego mienia zabużańskiego zostanie przeprowadzony dialog między przedstawicielami polskich

władz a panem Jerzym Broniowskim. Toczyły się negocjacje, po stronie polskiego rządu było dwadzieścia osób, nastawionych niechętnie, wręcz wrogo. Pan Broniowski zaś usiłował zakończyć tę sprawę właśnie w drodze ugody. Pomyślałam sobie wtedy, że jeśli władza w tak oczywistej i tak niezwykle ważnej dla Polski sprawie nie była gotowa do podjęcia dialogu w celu znalezienia kompromisu, to nie mamy ani klimatu, ani umiejętności, ani chęci do tego, żeby rozwiązywać tego typu problemy w drodze ugody, mediacji. Jedyna nadzieja pozostaje zatem w standardach europejskich. Mam nadzieję, że konferencja, o której wspomniałam, doprowadzi do tego, iż zostaną stworzone nowe rekomendacje Komitetu Ministrów Rady Europy, które będą zawierały zalecenie dla państw członkowskich, żeby otworzyły się na proces mediacji. Życzę władzy, żeby zrozumiała, iż tylko w ten sposób można rozwijać demokrację w państwie, a także utrwałać i rozwijać prawa człowieka oraz szanować godność ludzką.

Tomasz Koncewicz

Chciałbym się podzielić kilkoma refleksjami z perspektywy młodszego pokolenia, które panu premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu wiele zawdzięcza. Pragnę zwrócić uwagę na jeden aspekt – aspekt otwarcia, który nastąpił w 1989 roku, otwarcia na standardy, które płyną z zewnątrz.

Gdy mówimy o prawach człowieka, zakładamy, że mamy do czynienia z jednostką partycypatywną, która pragnie uczestniczyć w dialogu, ale nie tylko pragnie, ale może uczestniczyć w tym dialogu dzięki prawom, które są jej nadane. W mojej wypowiedzi chciałbym jednak zwrócić uwagę nie na perspektywę praw, ale raczej na perspektywę tego, co władza jest winna takiej uprawnionej jednostce, ponieważ jednostka z chwilą, gdy uzyskuje określone prawo, przestaje być dla władzy petentem (a przez wiele lat petentem

była), staje się natomiast podmiotem uprawnionym i równorzędnym wobec władzy.

Ta bardzo krótka refleksja może być zobrazowana smutną alegorią, którą stanowi spór o dolinę Rospudy. Mamy bowiem w tym przypadku do czynienia z sytuacją, gdy obywatel, który korzysta z określonych, bezsprzecznie przyznanych mu praw, aby zwrócić uwagę na te prawa – wchodzi na drzewo. Ta alegoria jest niezwykle smutna, ponieważ z jednej strony mamy prawa, które są rzeczą oczywistą, których realizacja jest obowiązkiem władzy w dzisiejszej zmienionej rzeczywistości, gdy Polska jest członkiem Unii Europejskiej i Rady Europy, z drugiej zaś strony władza, niestety, obywatela zawiodła. Aby realizować swoje prawa, zwrócić na nie uwagę, obywatel musiał wejść na drzewo. Podobnie jest z mieszkańcami Augustowa: aby zwrócić uwagę na swe słuszne pretensje, żądania określonego postępowania wobec władzy, podjęcia trudnych decyzji, obywatele muszą, w wyrazie protestu, wychodzić na ulice. Powstaje pytanie: kiedy obywatel zejdzie z drzewa? Moja odpowiedź jest następująca: obywatel zaczął schodzić z drzewa w roku 1989 (zawdzięczamy to m.in. panu premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu oraz temu, co się stało w tym pamiętnym roku) i dzisiaj powinien pozostawać na ziemi, m.in. dzięki Trybunałowi Konstytucyjnemu, który wysłuchuje. Z drugiej jednak strony jest zmuszany do ucieczki z tego swojego stanu naturalnego na ziemi gdzieś na górę, ponieważ władza publiczna jej nie wysłuchuje. Teraz dochodzimy do najważniejszej, moim zdaniem, z perspektywy człowieka reprezentującego młode pokolenie, zmiany, która właśnie następuje. Prawa bez możliwości przedstawienia swojego stanowiska, a więc bez prawa do wysłuchania, są prawami iluzorycznymi. Kiedy zatem obywatel zejdzie z drzewa? Wtedy, kiedy jego prawa będą respektowane, gdy zostanie wysłuchany. A kiedy zaczął być wysłuchiwany? Wtedy, kiedy Komisja Europejska zwróciła uwagę na *casus* Rospudy, gdy Trybunał Sprawiedliwości uznał, że podatek akcyzowy jest pobierany ze złą wiarą przez organy administracji, które są tego świadome, ale mimo

to nadal postępują w sposób niezgodny z prawem. Powtórzę jeszcze raz tę niezwykle smutną konstatację: obywatel schodzi z drzewa, gdy ktoś go wysłucha, polski obywatel jest jednak wysłuchiwany nie przez władze swego kraju, tylko przez instytucje międzynarodowe. Stało się to możliwe dzięki wspomnianemu otwarciu na zewnątrz, a owo otwarcie w dużej mierze zawdzięczamy panu premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu. Pragnę zatem w imieniu mojego pokolenia podziękować mu za to, że mamy szansę na pozostanie w stanie naturalnym, że już nie jesteśmy skazani na te drzewa.

Monika Płatek

Zanim przejdę do meritum swojej wypowiedzi, chciałabym podziękować panu Tadeuszowi Mazowieckiemu za dobry czas w październiku 1989 roku, a także za cały następny rok, kiedy miałam poczucie, że jestem reprezentowana przez światłą władzę. Z czasem nabierałam poczucia, że to się ogranicza tylko do pana premiera, ale nie należy zapominać, że mogą być ludzie na stanowiskach władczych, którzy pamiętają o tym, czego od władzy wymagał chociażby Konfucjusz: władza ma służyć.

Chciałabym teraz powiedzieć o Sokratesie, o prawach fizyki oraz o wartościach uniwersalnych.

Jeśli przyjrzymy się starożytnym Atenom, postrzeganym jako kolebka demokracji, to trzeba stwierdzić, że było to miejsce koszarne. Ateńczycy nie dawali sobie rady z niczym, a słynna demokracja ateńska była demokracją tylko dla wybranych. Tradycyjnie wyłączone były z niej kobiety (i to, jak widać, się utrzymało), a prócz kobiet – dzieci obu płci, ludzie niemający, niewolnicy, obcokrajowcy. Istniała więc wielka grupa wyłączonych. Demokracja ateńska dotyczyła zatem bardzo niewielkiej grupy. W istocie grupa ta często przypominała motłoch, o czym świadczy chociażby los Sokratesa, który próbował usprawnić demokrację i został przez nią zabity.

Dzisiaj mówimy o demokracji jako o ustroju, który wprawdzie opiera się na woli większości, ale uwzględnia również interesy mniejszości. W niektórych krajach jednak – m.in. w Polsce – to większość należy do mniejszości. Mam na myśli kobiety. W związku z tym chciałabym nawiązać do języka. Pan Tadeusz Mazowiecki, pytając „Kim jesteś, obywatelu?”, prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że używając takiego sformułowania, dyskryminuje ponad połowę społeczeństwa. Język polski jest bowiem językiem seksistowskim. Zostało to dowiedzione zarówno przez językoznawców, jak i przez językoznawczynię. Ponieważ jest to język seksistowski, należy wymagać i oczekiwać odpowiedniej wrażliwości od władzy, a także od pań i panów, którzy zajmują się nauką. Posiadanie takiej wrażliwości zapobiega odrzucaniu ludzi na margines. Jeśli zaś owej wrażliwości nie ma, dyskryminacja następuje lawinowo oraz nie ogranicza się tylko i wyłącznie do kobiet.

Według praw fizyki, żeby można było cokolwiek przesunąć, potrzebna jest masa krytyczna. Podobnie jest w społeczeństwie: bez masy krytycznej nawet najwybitniejsze jednostki niewiele zdziałają. Pan profesor Roman Wieruszewski wspominał w swej wypowiedzi o odmowie podpisania oświadczenia lustracyjnego przez panów Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego. Są to jednak osoby tak wybitne, że nie poniosą dużych konsekwencji tej decyzji. Konsekwencje tego typu decyzji, w przypadku ich podjęcia, ponoszą bowiem „zwykli ludzie” – Kowalscy, Malinowscy. Warto o tym pamiętać.

W 1989 roku w Polsce zaczęło się coś bardzo niezwykłego. Jestem za to wdzięczna i – podobnie jak co najmniej dziesięć milionów Polek i Polaków – uważam, że jestem współtwórczynią tego, co się stało. Potem jednak zaczęliśmy popełniać błędy. Nie wiem, czy pierwszym z tych błędów była decyzja o wprowadzeniu religii katolickiej do szkół, przy ignorowaniu faktu, że są jeszcze inne wyznania, czy odrzucenie na margines osób starszych i ubogich, które skupiły się wokół księdza Rydzka...

Obecnie najważniejszą sprawą jest, żebyśmy wreszcie zrozumieli, iż nie wydzwigniemy się i nie pójdziemy dalej bez postawienia na edukację. Edukacja ta musi być skierowana przede wszystkim do dzieci mieszkających na wsi i w małych miasteczkach. Należy także zwracać większą uwagę na problemy ludzi starszych oraz osób niepełnoprawnych. Ludzie ci nie mogą być wykluczeni. Nie możemy sobie pozwolić na ograniczanie potencjału, który jest w społeczeństwie, gdyż takie ograniczanie oznacza zaciąganie coraz większego długu wobec tego, co zostało rozpoczęte w 1989 roku.

Na zakończenie chciałbym stwierdzić, że podobają mi się uniwersalne wartości i uniwersalne traktowanie, ale tutaj – jak jeden mąż, bo jakoś żony tu nie ma – panowie wyraźnie podkreślali podmiotowość, więc jeśli podmiotowo, to wolę być traktowana jak kobieta.

Piotr Winczorek

Moje wystąpienie będzie nieco patetyczne, ale wynika to faktu, że będę mówił o rzeczach wzniosłych. Wielu moich przedmówców mówiło o prawach i wolnościach obywatela w kontekstach narodowym oraz międzynarodowym, bo te prawa i wolności były przez lata zaniebdywane, nieznane i nierespektowane. Ja natomiast chciałbym powiedzieć o obowiązkach, bo na obraz obywatela składają się także obowiązki. Z punktu widzenia konstytucyjnego, choćby tego, co jest zapisane w polskiej ustawie zasadniczej, te obowiązki przedstawiają się nader blado, zawarte są w kilku artykułach, i to takich, które mają charakter tautologiczny, ale nie są to obowiązki obywatelskie. Na przykład: każdy, kto przebywa na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej ma obowiązek przestrzegania jej prawa. Jest jeszcze obowiązek ochrony środowiska, uczestniczenia w świadczeniach majątkowych na rzecz państwa czy też obrony ojczyzny. Na tym kończą się obowiązki i człowieka, i obywatela. W regulacjach rangi usta-

wowej – zaczynając od przepisów ruchu drogowego, a kończąc na przepisach karnych – tych obowiązków jest oczywiście bez liku, ale niewiele z nich odnosi się do obywatela, na ogół chodzi o każdy podmiot prawa, który jest człowiekiem.

Czy warto zatem mówić o obowiązkach? Uważam, że warto, ale nie w kategoriach czysto prawnych, ale raczej moralnych i stąd ten wysoki ton. Na przykład obowiązkami, które mają charakter raczej moralny niż prawny są: obowiązek uczestnictwa w życiu publicznym, jeżeli chce się być obywatelem, wspomniany przez moich przedmówców obowiązek przeciwstawiania się złemu prawu – czyli to, co się określa mianem nieposłuszeństwa obywatelskiego (*civil disobedience*) – a także obowiązek współdziałania z innymi, gdy istnieją jakieś potrzeby wspólne. Czy można nakazać realizowanie obowiązków pod groźbą nierespektowania praw? Pragnę przypomnieć, że taki pomysł wiązania obowiązków z prawami (czy raczej praw z obowiązkami) już kilka razy się pojawiał. W Konstytucji RP z 1935 roku była mowa o tym, że może korzystać ze swoich praw ten, kto będzie należycie wykonywał swoje obowiązki obywatelskie. Oznaczało to, że musiałby istnieć cenzor oceniający, czy te obowiązki są wykonywane oraz przyznający prawo do korzystania z prawa. Podobna idea pojawiła się w 1976 roku przy okazji tej nieszczęsnej nowelizacji Konstytucji PRL. Na szczęście ten pomysł upadł, ale wcale nie wygasł. On się tu i ówdzie pojawia na marginesach, ale nie centrum życia politycznego. Na przykład w projekcie konstytucji jest taki przepis, który powiada, że własność to nie jest tylko prawo, ale także obowiązek. Każdy cywilista powie, że z wykonywaniem prawa własności wiążą się pewne obowiązki właściciela, a także obowiązki tego, kto nie jest właścicielem, w stosunku do właściciela. Ale w atmosferze, która nas obecnie otacza, z takiego małego przepisu może wyrosnąć pomysł, aby łączyć obowiązki z prawami na wielką skalę, w taki sam sposób jak w konstytucjach z roku 1935 lub 1976. Chciałbym przed tym przestrzec. Nie należy jednak zapominać o obowiązkach jako o pewnej stronie obrazu obywatela. Jest to bowiem bardzo

istotny element, bez którego więzy społeczne się kruszą, rozluźniają i wykonywanie praw może wówczas mieć podobny charakter jak wykonywanie uprawnień właścicielskich przez właściciela działającego w złej wierze.

Krzysztof Rączka

Nasza konferencja nosi tytuł „Kim jesteś, obywatelu?”. Sformułował bym tę kwestię inaczej, a mianowicie: „Kim powinienes być, obywatelu?”. I rozpocząłbym jednak od konstytucji. Kim bowiem w świetle ustawy zasadniczej powinien być obywatel naszego kraju? Mówimy, iż Rzeczpospolita jest demokratycznym państwem prawa, szanującym godność, promującym dialog społeczny. Z tego wyłania się nam obywatel jako podmiot – podmiot świadomy, aktywny, pragnący decydować o swoim środowisku zawodowym, o otoczeniu, w którym mieszka, o państwie, a jednocześnie podmiot, który przez to państwo powinien być szanowany. Takich obywateli mamy wielu, widać to choćby na tej sali. Musimy jednak mieć świadomość, że duża część Polaków jest społeczeństwem pasywnym, które nie potrzebuje aktywności albo jeszcze nie uświadamia sobie tej potrzeby. Tradycję społeczeństwa obywatelskiego budujemy dopiero od 1989 roku. Dzisiaj potrzeba działań, które utwierdzałyby nas w tym, iż słusznie robimy, że jesteśmy aktywni, że jesteśmy obywatelami świadomymi, ale także działań, które takie postawy by promowały.

Z czym natomiast mamy do czynienia w ciągu kilku ostatnich miesięcy? Czy to rzeczywiście jest rozwój państwa obywatelskiego, czy państwa etatystycznego? Na przykład jawnie deklaruje się walkę z korporacjami zawodowymi, a zwłaszcza z korporacjami prawniczymi. Adwokaci, radcowie, notariusze postrzegani są niemal jako wrogowie obecnego państwa. Pod płaszczykiem zwalczania korporacjonizmu próbuje się dokonać etatyzacji tych zawodów. Mam świadomość, że patologie występują w każdym środowisku, także

wśród prawników czy lekarzy. Obecnie jednak można stwierdzić, że środowisku lekarskiemu wypowiedziano wojnę. Państwo zaczyna niszczyć godność jednostek, tworzy podziały między grupami społecznymi, zamiast łączyć – dzieli. Staje się to swego rodzaju celem. Robi to głównie władza ustawodawcza i władza wykonawcza, ale niekiedy także niestety władza sądownicza, np. poprzez bardzo łatwe – przepraszam za kolokwializm – „zaklepywanie” aresztów tymczasowych. A kto decyduje o zastosowaniu aresztu tymczasowego? Asesor, czyli osoba, która zaczyna karierę w zawodzie sędziego, która jest jeszcze tymczasowo w tym zawodzie, która jest uzależniona od władzy administracyjnej. Prokurator *ex post* legalizuje naganną akcję Centralnego Biura Śledczego. Nie będę już się znącał nad treścią ustawy lustracyjnej, ale nawiązując do tej ustawy, powiem, że demonizuje się nie tylko treść prawa, ale także sposób jego tworzenia. Podstawowa ustawa lustracyjna miała wejść w życie 15 marca. Prezydent zrobił do niej dużą nowelę, która miała wejść w życie 28 lutego. Przez dziesięć lat zajmowałem się legislacją, ale jest to pierwszy przypadek, kiedy nowela wchodzi w życie przed podstawową ustawą. Ale na tym nie koniec. Po kilku tygodniach obowiązywania prezydent wnosi nowelę do swojej noweli. Przecież to jest demoralizujące! Czy takie działania mogą zachęcać obywateli do aktywności? Tego typu przykładów można by podawać więcej. Treść, jakość i sposób tworzenia prawa zniechęcają do wszelkiej działalności obywatelskiej.

Przejdźmy teraz na etap władzy wykonawczej – jak władza prawo stosuje prawo. Chwilami mam wątpliwości, czy to już jest przekroczenie konstytucyjne w sensie przyszłej odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu, czy jeszcze nie. Na przykład jaki jest cel ustawy lustracyjnej, skoro niedługo wszystkie listy mają zostać upublicznione? Sędzia Bogusław Nizieński powiedział: „Ponieważ nie wszystkie archiwa SB się zachowały, to my teraz poprosimy o oświadczenia i a nuż się ktoś przyzna, bo nie wie, że tam jest to zniszczone czy tego nie ma” – tak został wyartykułowany wprost cel ustawy lustra-

cyjnej. W ten sposób wytwarza się stan podziałów społecznych, stan zastraszenia. Syndrom podsłuchów powoduje, że ludzie zaczynają się bać. Obywatele zaczęli już tak się bać państwa, że dochodzi do aktów autodestrukcji. Należy zmienić jakość rządu, gdyż opisana sytuacja uniemożliwia promowanie społeczeństwa obywatelskiego.

Na zakończenie wspomnę, iż kilka dni temu gościliśmy na Uniwersytecie Warszawskim pana wicepremiera Ludwika Dorna, który po dyskusji stwierdził, że nie dostarczyliśmy mu dowodów na to, iż fundamenty demokratycznego państwa prawa są zagrożone. Chociaż padały dziesiątki przykładów, nie udało się go przekonać. Mówię to z przykrością, ale jestem przekonany, że po wczorajszym samobójstwie pani Barbary Blidy nie ma on już wątpliwości, że takie dowody są.

Michał Ziółkowski

Know-how społeczeństwa demokratycznego, o którym mówił profesor Jerzy Ciemniewski, interpretowałbym nie tyle jako nasycony treścią materialną zbiór praw i wolności, ile jako pewną umiejętność – umiejętność elastycznego, żywego reagowania w kontekście praw człowieka, umiejętność, która pozwoliła Europejskiemu Trybunałowi Praw Człowieka na zachowanie niezwykle żywotności Europejskiej Konwencji Praw Człowieka – traktatu, który, gdyby nie owo elastyczne reagowanie (o czym pisze profesor Cezary Mik), nie odniósłby takiego sukcesu i umarłoby śmiercią naturalną.

Umiejętność elastycznego, szybkiego reagowania powinna być atrybutem przede wszystkim władzy wykonawczej. Władza wykonawcza bowiem – z natury rzeczy ujęta w sztywne karby konstytucyjno-administracyjne – nie powinna odnosić swojej miary do obywatelstwa, które z natury rzeczy ma charakter dynamiczny, zmienny, oraz do praw człowieka, które również mają charakter dynamiczny i żeby zachowały swoją naturę, muszą odpowiadać bieżącym, rzeczy-

wistym potrzebom oraz mogą być realizowane tylko w kontekście Habermasowskiej deliberacji. Dzięki nabyciu umiejętności szybkiego i elastycznego reagowania władza wykonawcza nie będzie nakładać dodatkowych obciążeń, obowiązków, mnożyć sankcji (jak to jest chociażby w wielokrotnie przywoływanym tu przykładzie lustracyjnym), tylko będzie interpretować albo współdziałać na rzecz wolności, a jednocześnie nie będzie zarzucać instytucjom, które posługują się tą żywą interpretacją (takim jak Trybunał Konstytucyjny), że działają przeciw prawu. Zrozumienie zamiast zwalczania takiej umiejętności interpretacji tekstów prawnych (konstytucji, konwencji) pozwoli na zmniejszenie napięć między obywatelem a władzą oraz na lepsze ujęcie dynamicznego aspektu obywatelstwa we współczesnej Europie (pisał o tym pan Adam Bodnar w swojej pracy doktorskiej). Posiadanie tej umiejętności można było wyraźnie dostrzec w działaniach rządu Tadeusza Mazowieckiego. Umiejętność ta jest niezwykle trudna, ale mimo wszystko trzeba apelować, aby władza nie rezygnowała ze starań oraz solidnej nauki wyciągania wniosków z doświadczenia swoich poprzedników.

Wojciech Tygielski

Moje wystąpienie nie jest głosem w dyskusji, ponieważ jestem na tej konferencji dopiero od pół godziny. Nie mogąc uczestniczyć w całych obradach, przyszedłem tu wraz z panem prorektorem Stanisławem Głąbem, aby usłyszeć podsumowanie dyskusji przez pana Tadeusza Mazowieckiego. Niestety, nie może być z nami pani rektor Katarzyna Chałasińska-Macukow; aby zatem zrekompensować tę nieobecność, przyszliśmy we dwóch. Otóż jesteśmy tutaj po to, aby żeby w imieniu Uniwersytetu Warszawskiego złożyć panu premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu najserdeczniejsze życzenia z okazji jego jubileuszu oraz podziękować mu za to, że tak często z nami jest.

Od kilku dni słyszymy bardzo wiele ciepłych słów, które padają pod adresem pana Tadeusza Mazowieckiego. Nie chcę konkurować w próbie dorównania temperaturze tych słów. Chciałbym jednak nawiązać do niedawnej wizyty na naszej uczelni pana wicepremiera Ludwika Dorna, która to wizyta – jak można było się przekonać choćby na tej konferencji – bardzo utkwiła nam w pamięci. Pan Ludwik Dorn stwierdził, że autorytetów nie należy się specjalnie słuchać. Otóż jestem przekonany, że należy się słuchać i że pan premier Tadeusz Mazowiecki jest jednym z tych wielkich autorytetów. Dzięki temu, że przywiązaliśmy go do naszej uczelni doktoratem *honoris causa*, liczymy, że będzie częstym gościem na Uniwersytecie Warszawskim. Bardzo prosimy o to, żeby Pan nadał się z nami dzielić swoim doświadczeniem i swoją mądrością, swoją radą, bo czasy nam się zrobiły trochę skomplikowane – ku zaskoczeniu wielu osób, bo w kilkanaście lat po odzyskaniu niepodległości nagle okazało się, że prowadzimy zasadnicze spory, których temperatura jest bardzo wysoka.

Swoją wypowiedź chciałbym zakończyć osobistą dygresją. Wczoraj odbyło się posiedzenie mojej macierzystej Rady Wydziału, podczas którego, oczywiście, omawiany był temat lustracji. Z ogromnym zdumieniem słuchałem wypowiedzi wielu kolegów – których w ogóle nie podejrzewałem o posiadanie emocji, a już w żadnym wypadku emocji politycznych – stwierdzających z zaciśniętymi ustami i z wypiekami na twarzach, iż musimy teraz „absolutnie spokojnie się zastanowić i być razem”. Tak naprawdę jednak to oni chcieli wskazać tych niedobrych i wykluczyć ich z naszego grona. Poziom emocji, jakie powstały ostatnio w naszym społeczeństwie jest rzeczywiście zaskakująco wysoki. Dlatego autorytety mające dar tonowania tych emocji są nam obecnie niezbędne. Dlatego jeszcze raz, Panie Premierze – *Ad multos annos!* I prosimy, aby Pan o nas nie zapominał.

Podsumowanie

Tadeusz Mazowiecki

Przysłuchiwałem się tej konferencji bardzo uważnie i wiele się z niej nauczyłem. Płynące z niej przesłanie niezwykle mnie wzmacnia. Wzmacnia mnie także życzliwość, którą mi w ostatnich dniach okazało tak wiele osób. Nie mam z góry przygotowanego podsumowania konferencji, nie jestem również w stanie odnieść się do najważniejszych poruszanych na niej kwestii. Ograniczę się zatem do kilku głosów do wypowiedzi moich poprzedników. Zanim jednak to uczynię, pragnę bardzo serdecznie podziękować za tę konferencję jej inicjatorowi, panu profesorowi Mirosławowi Wyrzykowskiemu. Chciałem uniknąć jubileuszowych momentów, jestem zatem ogromnie wdzięczny wszystkim referentom za to, że bardzo dobrze wymierzali proporcje między jubilatem a tematem, że więcej było o temacie niż o jubilationie. Bardzo dziękuję, Panie Profesorze. Dziękuję całemu Wydziałowi Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Pragnę podkreślić, że z wielkim uznaniem obserwuję publiczną działalność Wydziału w ostatnim czasie. Dziękuję Uniwersytetowi Warszawskiemu za tę konferencję, a także za to, czym stał się Uniwersytet w polskim życiu publicznym.

Konferencja zorganizowana w 1977 roku przez redakcję „Więzi”, o której mówił pan profesor Andrzej Friszke, była ważna z dwóch względów. Po pierwsze, umożliwiła przekraczanie pewnych progów,

ponieważ odnosiła się do konfliktu, jaki w XIX wieku zaistniał w Polsce między inteligencją agnostyczną a inteligencją chrześcijańską. Po drugie, dawała wyraz toczącej się wówczas walce o prawa człowieka. Kiedy słuchałem referatu profesora Friszke, pomyślałem sobie, że pewne kwestie, poruszane na tej konferencji 30 lat temu, wciąż pozostają aktualne.

Panu profesorowi Jerzemu Ciemniowskiemu bardzo dziękuję za świetne wystąpienie, a zwłaszcza za to, co mówił o zarządzaniu strachem jako metodzie sprawowania władzy. Pragnę dodać, że rząd, którym kierowałem, nie tylko miał problem, czy skorzystać z dekretów – przeciwko czemu rzeczywiście się opierałem, bo uważałem, że odpowiedzialność za trudne decyzje powinien przyjmować nie tylko rząd, ale także przedstawicielstwo narodu, mimo że zostało ono wyłonione w warunkach niepełnej wolności. Jak wiadomo, ten Sejm najbardziej przyczynił się do tego, żeby reformy, zwłaszcza gospodarcze, zaczęły być realizowane. Istotniejszy był natomiast inny problem. Jeden z moich następców, krytykując pierwszy rząd III Rzeczypospolitej, zadał pytanie: co jest najważniejsze – czyja Polska czy jaka Polska? Otóż zawsze uważałem, że najważniejsze jest „jaka Polska”, a nie „czyja Polska”. Zdaję sobie sprawę, że w tamtym czasie ważne było przejście władzy przez obóz solidarnościowy, ale pytanie „Czyja Polska?” nie było pytaniem zasadniczym, ponieważ Polska jest nas wszystkich. Jeżeli bowiem jako najważniejsze postrzega się pytanie „Czyja Polska?”, to znaczy, że chce się wykluczenia, chce się tego, co było stosowane wobec nas przed rokiem 1989 – istnienia drugiej kategorii obywateli. Dlatego uważam, że głównym problemem ówczesnego rządu była odpowiedź na pytanie „Jaka Polska?”, jak ją reformować, jak iść do przodu.

Gdy pełniłem misję w byłej Jugosławii, bardzo dramatycznie przeżywaliśmy z panem profesorem Romanem Wieruszewskim ograniczoną skuteczność działań międzynarodowych oraz konieczność, jak to wtedy formułowałem, działania na granicy interwencji. Podobnie jak profesor Wieruszewski dostrzegam konieczność

przewycięzenia sprzeczności między tym, że prawo międzynarodowe nie może ingerować w sferę suwerenności (choć w jakimś stopniu musi) a tym, że musi bronić praw człowieka w sytuacjach konfliktowych. Jest to wielki problem prawa międzynarodowego.

Pan Aleksander Hall wymienił trzy schorzenia zagrażające polskim partiom politycznym: cynizm i pychę, politykę gestu i sondaży oraz politykę *idée fixe*. Nie powiedział, jakie schorzenie występuje obecnie, ponieważ jednak znam jego przekonania, domyślam się, iż uważa on, że mamy do czynienia z polityką *idée fixe*.

Obywateli świadomych, w sposób odpowiedzialny współdecydujących o sprawach kraju, poczuwających się do odpowiedzialności za wspólnotę, w której żyją, Aleksander Hall nazwał „solą polskiej ziemi”. Aby liczba takich obywateli się nie zmniejszała, trzeba obrony tego, co nazwałbym duchowym wymiarem demokracji. Duchową wartość demokracji tworzą wszystkie zasady, nawet proceduralne, nie tylko ujęte normy prawne, ale także zasada domniemania korzystnego dla obywatela. *Praesumptio boni viri* – o której mówili m.in. profesorowie Roman Wieruszewski i Andrzej Murzynowski – jest presumpcją duchowego stosunku do człowieka jako osoby ludzkiej, stawiania na dobro. Zasada ta stanowi dziedzictwo pewnej kultury politycznej, którą chcemy kultywować. Wydaje mi się, że protest przeciw niszczeniu tego duchowego wymiaru demokracji jest dzisiaj niezbędny oraz że budowa duchowej infrastruktury demokracji jest tak samo potrzebna jak była w 1977 roku.

Pragnę pogratulować wszystkim Państwu tej cennej dyskusji. Gratuluję też panu profesorowi Mirosławowi Wyrzykowskiemu, inicjatorowi naszego spotkania.

Mirosław Wyrzykowski

Bardzo dziękuję, Panie Premierze. Zbliżamy się do końca konferencji. Zanim jednak ją oficjalnie zakończę, chciałbym opowiedzieć,

jak doszło do tego, że pomysł konferencji się zmaterializował. Rozmawialiśmy niedawno z panem profesorem Jerzym Ciemniewskim o ważnych wydarzeniach i wtedy tym ważnym wydarzeniem była zbliżająca się rocznica urodzin pana premiera Tadeusza Mazowieckiego. Postanowiliśmy uczcić ten jubileusz konferencją. Zadzwoiłem więc do pana premiera, ale on bardzo się przeciwstawiał tej idei, podobnie zresztą jak wszystkim poprzednim pomysłom tego typu. Powiedziałem mu jednak, że moje obowiązki jako promotora trwają do końca życia, a więc musi się liczyć się z tym, że jeszcze przez wiele lat pewne obowiązki będą związane z jego osobą. Zorganizowanie tej konferencji było zatem inicjatywą wspólną.

Pragnę jeszcze podziękować osobom, których ofiarność przyczyniła się do zorganizowania tej konferencji: panu doktorowi Adamowi Bodnarowi oraz panu Rafałowi Sikorskiemu, pełnomocnikowi dziekana ds. konferencji. Dziękuję także moim studentom, panom Jackowi Kowalewskiemu, Michałowi Ziółkowskiemu i Grzegorzowi Godlewskiemu, których stopień zaangażowania wskazywał na bezpośredni związek intelektualny i emocjonalny młodego pokolenia z przeszłością; przeszłością tak niedawną, o której jednak niektórzy tak bardzo chcieliby zapomnieć. Patronami medialnymi konferencji byli „Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Powszechny” i Radio TOK FM.

* * *

Prof. UW dr hab. Mirosław Wyrzykowski
Wydział Prawa i Administracji UW

LAUDACJA
NA UROCZYSTOŚĆ NADANIA
PANU TADEUSZOWI MAZOWIECKIEMU
TYTUŁU DOKTORA HONORIS CAUSA
UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO

Wielce Szanowny Panie Prezydencie,
Rector Magnificus,
Rectores Magnificii,
Spectabiles,
Illustrissimo Doctor Honoris Causa

Wiele jest powodów, dla których Senat Uniwersytetu Warszawskiego podjął jednomyślną uchwałę w sprawie nadania doktoratu honorowego Panu Tadeuszowi Mazowieckiemu.

Zwykle promotor nie jest bardzo potrzebny w przewodzie tego rodzaju, bo uzasadnienie jest samo przez się oczywiste.

Tym bardziej sytuacja taka ma miejsce w dniu dzisiejszym.

Proszę zatem o pozwolenie, Czcigodny Panie Doktorze i Szanowni Zebrani, wskazania w mej laudacji kilku – wybranych z wielu – najważniejszych powodów dzisiejszej uroczystości.

Jasność celu i konsekwencja jego realizacji.

Te cechy określiły szansę Polski, gdy 12 września 1989 r. w exposé rządowym Tadeusz Mazowiecki stwierdzał:

„Pragniemy godnie żyć w suwerennym, demokratycznym i praworządnym państwie, które wszyscy... mogliby uważać za własne.

Żyć w kraju o zdrowej gospodarce...

w Polsce otwartej na Europę i świat,

Polsce – której obywatele będą się czuć w innych krajach Europy i świata mile widzianymi gośćmi, a nie sprawiającymi kłopot intruzami

Oczywiste jest, że suwerenność była (i pozostała) dla Tadeusza Mazowieckiego wartością fundamentalną.

Przypomnijmy zatem – w 1989 r. **suwerenność** Polski była wyrażana także poprzez stosunek do najbliższych sąsiadów.

To wizyta w ówczesnym Związku Radzieckim, w listopadzie 1989 roku, pierwsza zagraniczna wizyta, w atmosferze obalenia w przeddzień pomnika Dzierżyńskiego.

Ale wizyta przede wszystkim po to, by uklęknąć na grobach w Katyniu. Pierwszy polityczny akt poza granicami Polski był aktem hołdu Rzeczypospolitej dla ofiar zbrodni, synów narodu polskiego i aktem skruchy za wymuszone przez dziesięciolecia milczenie.

To rozpoczęcie procesu uniezależniania się od wschodniego sąsiada, uniezależniania politycznego, ekonomicznego i militarnego, przedstawiania zwrotnic polityki zagranicznej i dążenie do odtworzenia i stworzenia trwałych i nieodwracalnych więzów z europejską cywilizacją Zachodu, czego efektem stanie się później, ale o wiele szybciej, niż można było marzyć, członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

To także stosunek do zachodniego sąsiada – w listopadzie 1989 r. natychmiastowa analiza znaczenia upadku muru berlińskiego, by w czasie procesu jednoczenia Niemiec stwierdzić, że nie będzie zjednoczenia Niemiec bez udziału Polski – na konferencji (2+ 4) nie mogło nie być Polski : „Polska musi i będzie tam obecna” – oświadczył Tadeusz Mazowiecki. I tak się stało.

Po raz pierwszy od 1939 r. Polska stała się podmiotem, a nie przedmiotem na arenie polityki europejskiej.

Ale to żądanie wynikało także ze świadomości znaczenia procesu pojednania z Niemcami, świadomości mającej swoje źródło także w odległej dyskusji na łamach „Więzi” po historycznym liście biskupów w 1964 r.

Mam w pamięci telewizyjny obraz z liturgii tyleż kościelnej, co politycznej – w Krzyżowej – i przejmujące wrażenie, że Tadeusz Mazowiecki z wahaniem odpowiada na gest objęcia przez potężnego sąsiada reprezentowanego przez potężnego kanclerza; ta ostrożna reakcja na przyciągnięcie, jakby wbrew emocjom premiera rządu Rzeczypospolitej, miała także rangę przesłania: w polityce gesty mogą ewentualnie kończyć określone procesy, ale nie mogą ich zastępować.

To w tamtych tygodniach i miesiącach był Pan w oczach wielu, bardzo wielu ludzi gwarantem spokoju i bezpieczeństwa – ta pamięć zbiorowa pozostała, czego wyrazem jest godny pozazdrosczenia dla każdego polityka stosunek opinii publicznej do Pana osoby.

Wyjątkowa w naszych warunkach jest filozofia polityki i działania publicznego doktora Mazowieckiego.

To, co najbardziej wyróżnia Tadeusza Mazowieckiego to poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne, bo jest dla Niego oczywiste, że Polityka to zadanie i obowiązek.

To zdawanie sprawy zarówno z rezultatu jak i ze sposobu dochodzenia do rezultatu.

To wizja zakotwiczona w rozpoznanych realiach jako możliwych do pokonania przeszkodach jej urzeczywistnienia. To odwaga ryzyka wyboru i ryzyka porażki. Władza to ciężar odpowiedzialności i sprawa honoru.

Wyznając ten kanon zachowań publicznych Tadeusz Mazowiecki bardziej niż ktokolwiek inny miał podstawy kierować przez 16 miesięcy rządem, który dokonał więcej niż można było oczekiwać i sprawił, że Polska stała się najważniejszym punktem odniesienia dla procesów zmian politycznych i gospodarczych tego regionu Europy.

Wiedzą, szczególnie niektórzy z obecnych na tej sali, że proces podejmowania decyzji był żmudny, że decyzje – jak to u sowy (bo skowronkiem to Pan Premier na pewno nie jest) zapadały późną nocą lub wczesnym rankiem, jeżeli jednak decyzje zostały podjęte,

to wiadomo było, że są optymalne: przyniosą najwięcej oczekiwanych rezultatów przy najmniejszym koszcie ich realizacji. I że będą wykonane.

To wiedzą Ci, którzy w Gdańsku w 1980 r. tworzyli wspólnie z Tadeuszem Mazowieckim program Komitetu Strajkowego i program naprawy Polski.

Także ci, którzy mieli zaszczyt i satysfakcję współpracy z Premierem, zarówno w Warszawie jak i w Sarajewie,

A także ci, którzy czy uczestniczyli w pracach Komisji Konstytucyjnej, czy sejmowej Komisji Prawa Europejskiego.

Bo też wszystkie te osoby mogły w wyjątkowy sposób doświadczyć, co oznacza lojalność wobec podwładnych i współpracowników – przejęcie odpowiedzialności za chwilowe trudności czy ewentualną porażkę podwładnych jest cechą tyleż rzadką, co doniosłą, że warto ją – przy tej sposobności – szczególnie podkreślić.

Wspominam Komisję Prawa Europejskiego także dlatego, że to Pan jest jednym z twórców zwycięstwa Polski dokonanego w referendum ostatniego weekendu. Powody do radości mieliśmy wszyscy, ale Pan w sposób szczególny. W niedzielę, 8 czerwca 2003 roku, w dniu referendum europejskiego, kilka minut po 20-ej byliśmy też świadkami małego cudu: najbardziej zafrasowana twarz tej części świata promieniowała szczęściem. Szczęśliwy, promiennie uśmiechnięty był Tadeusz Mazowiecki, kontynuator integracyjnych podwalin stworzonych przez wielkich europejskich chrześcijańskich demokratów: Schu-mana, Adenauera i De Gasperiego.

Nie tylko prawnicy, ale i nie zawsze prawnicy, właściwie rozumieją znaczenie prawa, w tym prawa zasadniczego jakim jest Konstytucja dla pozycji jednostki i jej wolności i praw, sposobu organizacji i funkcjonowania państwa, granic władzy i warunków realizacji dobra wspólnego.

A przecież wpływ Tadeusza Mazowieckiego na proces tworzenia najważniejszych dokumentów ustrojowych państwa, by wspomnieć „Małą Konstytucję”, ustawę o trybie przygotowania i uchwalenia

Konstytucji RP i wreszcie na uchwalenie obowiązującej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej byłyby wystarczającymi powodami, by uzasadnić inicjatywę właśnie Wydziału Prawa zakończoną dzisiaj uroczystością.

Bo nie tylko treść norm konstytucyjnych ma swoje odzwierciedlenie w sposobie rozumienia prawa przez doktora Mazowieckiego. W równym stopniu ważne jest, że to właśnie dzięki jego umiejętnościom rozmowy, negocjacji, rozumienia argumentów strony przeciwnej, poszukiwania tego co łączy, a nie podkreślanie tego co dzieli osiągnięty został wielki kompromis konstytucyjny, którego wartość znamy, ale którego pełne znaczenie ukaże czas – i że ten historyczny kompromis doprowadził do uchwalenia Konstytucji III Rzeczypospolitej.

I uczynił to – nie mając wątpliwości – które były udziałem także jego własnej partii, że takiego rozstrzygnięcia wymaga interes Polski, że niepowtarzalny układ w parlamencie jest ostatnią szansą kompromisu w tamtych okolicznościach.

I jeżeli dzisiaj Preambuła naszej Konstytucji jest punktem odniesienia dla prac nad Traktatem Konstytucyjnym dla Europy, to możemy wspólnie z Tadeuszem Mazowieckim odczuwać Jego osobistą satysfakcję.

* * *

Tradycja domowa, studia uniwersyteckie, głębokie korzenie intelektualne wiary katolickiej określające otwartość wyznawanego i praktykowanego katolicyzmu – te m. in. czynniki określiły charakterystyczny dla Tadeusza Mazowieckiego szacunek dla człowieka, jego wolności i praw.

By tylko przypomnieć: upowszechnianie filozofii społecznej personalizmu Jacquesa Maritaina i Emmanuela Mounier na łamach „Więzi”; obrona studentów w 1968 roku i obrona robotników Wybrzeża w 1970 r.; powstanie Komitetu Obrony Robotników w 1976 r.; konferencja „Więzi” na temat praw człowieka w 1978 r.; decyzja, późnym latem 1989 r. o otwarciu polskiej granicy dla

tysięcy uciekinierów z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czy wreszcie – dramatyczne doświadczenia internowania w 1982 r., by po 10 latach od traumy stanu wojennego jak nikt inny rozumieć co oznacza dramat wojny bałkańskiej.

To wtedy Tadeusz Mazowiecki, Specjalny Sprawozdawca Komisji Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, ukazał opinii publicznej słabość wielkich tego świata, cynizm i brak dobrej woli polityków.

Wiedział, w oparciu o własne doświadczenie, jak tam, na miejscu rozmawiać zarówno z więźniami jak i ich oprawcami, wiedział, co oznacza czekanie na powrót najbliższych z obozu, bo przed laty razem z matką bezskutecznie czekał na powrót brata ze Stutthofu; wiedział, że najważniejszy jest skrzywdzony człowiek czekający na pomoc i mający chociaż odrobinę nadziei. Był dla cierpiących mieszkańców Bośni ostatnią nadzieją, bo myślenie i decyzje Specjalnego Sprawozdawcy określone były perspektywą ofiary, a nie wielkiej polityki.

Świadomy cierpienia ofiar wojny nie rezygnował z ONZ-owskiego mandatu wtedy, gdy widział ograniczenia możliwości swego działania.

Ale przecież, po masakrze tysięcy Muzułmanów w Srebrenicy, do czego świat dopuścił, ta właśnie świadomość bezradności wobec wielkiej polityki kazała mu zrezygnować z wykonywanej funkcji.

Nikt inny na świecie – tak mówią w Bośni – nie wyraził tak głęboko i szczerze swej solidarności z ofiarami barbarzyństwa.

Wówczas to w liście adresowanym do opinii publicznej świata stwierdził: „nie można wiarygodnie mówić o ochronie praw człowieka, jeżeli ma się do czynienia z sytuacją braku spójności i braku odwagi w postawie społeczności międzynarodowej i jej przywódców”, a przywołując doświadczenia własne stwierdzał: „...walczyliśmy w Polsce przeciwko systemowi totalitarnemu mając wizje Europy jutra. Jak zatem możemy wierzyć w Europę jutra tworzoną przez dzieci ludzi, którzy dzisiaj są (przez nas) porzuceni?...”.

I apelował w Genewie: „Na zatrzymanie zła, panowie, nigdy nie jest za późno”.

Akt protestu pozostał ostatnim sposobem dotarcia do sumień ludzi odpowiedzialnych za zaniechanie skutecznych działań w obronie skrzywdzonych ludzi: ich godności, życia, zdrowia, dorobku i nadziei, bowiem (to są słowa Tadeusza Mazowieckiego): „kiedy się patrzy na tak straszne nieszczęścia, to szalenie mocne staje się poczucie, że najpierw jest się człowiekiem.

A dopiero później człowiekiem określonej narodowości.

Człowieczeństwo łączy w nieszczęściu, w jego przeżywaniu.

Chciałoby się, aby ludzie tak to rozumieli”.

„Nie ma pytań pilniejszych

Od pytań naiwnych” – stwierdza noblistka

Takim pytaniem jest także – dlaczego Tadeusz Mazowiecki otrzymał godność doktora honorowego właśnie Uniwersytetu Warszawskiego?

I dlaczego inicjatorem był Wydział Prawa?

Związek z uniwersytetem to przede wszystkim studia na wydziale prawa, o czym za chwilę,

Ale publicznym aktem więzi ze środowiskiem uniwersyteckim była zredagowana przez posła Mazowieckiego, pamiętana przez nas i szanowana, interpelacja koła „Znak” w 1968 r., będąca aktem oburzenia na poczynania władz i aktem solidarności ze środowiskiem akademickim, szczególnie Uniwersytetu Warszawskiego, w murach którego wszystko się zaczęło.

Pamiętamy tamte słynne dwa pytania i ich uzasadnienie, które sposobem rozumienia świata tak bliskie są pytaniom zadany w liście kończącym misję na Bałkanach.

Znamienny związek z uniwersytetem jako funkcją i zadaniem to także udział w tworzeniu Towarzystwa Kursów Naukowych i „latającego uniwersytetu” w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, uniwersytetu alternatywnego wobec oficjalnego.

Ale to także, wiele lat później, nieincydentalny epizod: Tadeusz Mazowiecki, jako koordynator, wraz z innymi uczestnikami strony

solidarnościowej obrad „okrągłego stołu” na chwilę przed pierwszym, oficjalnym posiedzeniem spotkali się w Instytucie Socjologii przy ulicy Karowej.

Związek z Uniwersytetem Warszawskim jest też szczególnie poprzez to, co uzyskał nasz uniwersytet, a pośrednio całe społeczeństwo, dzięki decyzjom rządu kierowanego przez Tadeusza Mazowieckiego.

Mam na myśli decyzję rządu o przekazaniu na rzecz Uniwersytetu Warszawskiego kilku nieruchomości, w tym tzw. „Domu Partii”. Tam miała być biblioteka, ale zdarzyło się wielokrotnie sensowniej – nowoczesna biblioteka powstała na Powiślu dzięki transformacji idei Marksa dotyczącej znaczenia kapitału w efekt materialny nowoczesnego Pałacu Myśli. To wówczas, 15 maja 1990 r. w sali Senatu osobiście poinformował Pan uniwersytet o decyzjach, które dotyczyły największej donacji w prawie 200-letniej historii naszej uczelni.

Ale co było dla nas i dla wszystkich zainteresowanych ważne, to ówczesna akcja zbierania tzw. cegiełek, które były dowodem ofiarności społeczeństwa tym razem na rzecz nauki i kultury (w czasach, gdy były – jak wszystko wtedy – „spontanicznie” kupowane przez obywateli mówiło się o „nadbudowie”), były one dowodem ofiarności na rzecz właśnie Uniwersytetu Warszawskiego.

To był jeden z ważniejszych aktów o charakterze symbolu – symbolu zwycięstwa wolności wyboru na rzecz rozumu. Społeczność akademicka pamięta tamte decyzje i dzisiaj może wyrazić swoje uznanie dla mądrości ówczesnego rozstrzygnięcia traktowanego w jednakowym stopniu w kategoriach materialnych, jak i symbolicznych właśnie.

I nie wyłącznie symboliczny charakter ma w tych okolicznościach fakt, że recenzenci w dzisiejszym przewodzie doktorskim reprezentują Uniwersytet Jagielloński, Polską Akademię Nauk i Uniwersytet Warszawski.

I drugie pytanie – dlaczego Wydział Prawa był inicjatorem decyzji Senatu uniwersyteckiego ?

Tadeusz Mazowiecki był w latach pięćdziesiątych związany z Wydziałem jako student, szczególnie zainteresowany problematyką teorii prawa. Był seminarzystą prof. Henryka Piętki (ucznia Leona Petra-życkiego), zwolennika teorii działania praw socjologicznych oraz naturalnego charakteru objawów życia prawnego, z którymi rozsądny ustawodawca zawsze się musi liczyć.

Wtedy datuje się początek trwałego rozumienia prawa jako „ludzkiej reguły” i jako „reguły dla ludzi”, jako nośnika i wyraziciela wartości, jako realizatora społecznych funkcji. To także określiło sygnalizowane przed chwilą rozumienie wolności i praw człowieka jako podstawy porządku świata.

Prawnicy mają Panu wiele do zawdzięczenia. To my byliśmy szczęśliwymi wówczas uczestnikami procesu zmiany ustroju państwa, pierwszy raz dokonanego nie poprzez podniesienie rąk na rozkaz policji czy wojska, ale poprzez podniesienie rąk w akcie parlamentarnego głosowania.

To prawnicy stali się jednymi z największych beneficjentów procesu transformacji, czasami ponad miarę korzystającymi z tego podarunku historii.

To dzięki efektom procesu transformacji systemowej bez większego żalu, szczególnie w zakresie prawa publicznego, obserwowaliśmy trafność XIX-wiecznej obserwacji, iż za jednym pociągnięciem ustawodawcy w pył zmieniają się całe biblioteki. By zacząć tworzyć biblioteki na nowo. W tym szczególnie zbiory nowej biblioteki uniwersyteckiej

I niech mi będzie wolno podziękować Panu za szansę jaką dał Pan Wydziałowi Prawa – rzadko się zdarza, by inicjatywa prawników spotkała się na uniwersytecie z tak powszechnym aplauzem.

To jest Pana zasługa, ale nasza przyjemność i satysfakcja.

Doktorat honorowy przyznany zostaje osobie, która spełnia wszystkie cechy Męża Stanu.

Starsze pokolenie odzyskuje dumę z faktu, że nie jest to kategoria zupełnie zapoznana, młodzież uzyskuje szansę zrozumienia znaczenia prawdziwej wielkości.

Bowiem jeżeli ktoś, tak jak Tadeusz Mazowiecki kieruje się rzymską zasadą, że dobro publiczne jest najwyższym prawem i realizuje nakazy prawa: żyć uczciwie, drugiego nie krzywdzić, oddać każdemu co mu się należy, to same przywołują się słowa Horacego Exegit monument (um) Aere pereni-ius, regaliæ situ, pyramid(um) alti-ius. „Zbudował sobie pomnik trwalszy od spizu, wyższy od królewskich piramid”.

Nam pozostaje przywilej i radość nałożenia na Jego ramiona togi doktora honorowego Uniwersytetu Warszawskiego.

Tadeusz Mazowiecki

WYSTĄPIENIE DOKTORA HONORIS CAUSA
UNIwersytetu WarsZawskiego
PANA TADEUSZA MAZOWIECKIEGO

Magnificencjo, Panie Rektorze

Chcę najpierw i przede wszystkim złożyć na Pana ręce podziękowanie Senatowi Uniwersytetu Warszawskiego za nadanie mi zaszczytnego tytułu doktora honoris causa.

Na ręce pana Dziekana Wydziału Prawa i Administracji składam podziękowanie za wniosek, który Wydział w tej sprawie skierował.

Promotorowi, panu profesorowi Mirosławowi Wyrzykowskiemu najmocniej dziękuję za podjęcie tej inicjatywy. Recenzentom, profesorom Jerzemu Makarczykowi, Piotrowi Winczorkowi i Andrzejowi Zoilowi dziękuję za udział w tej drodze, a Panu Promotorowi i Panu Dziekanowi za słowa, które dzisiaj wypowiedzieli. Jest to dla mnie wielki zaszczyt, że nadano mi tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego, tego Uniwersytetu, który wśród swoich uczonych liczy tak wielkie postacie jak Leona Petrażyckiego,

Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Marię i Stanisława Ossowskich.

To wielki zaszczyt dla mnie. Przyjmuję go z ogromną wdzięcznością, ale także z pokorą.

Byłem bowiem studentem Wydziału Prawa, ale wydziału tego nie ukończyłem. Jest to więc w pewnym sensie, Panie Dziekanie, powrót marnotrawnego syna. A w każdym razie powrót studenta do swej uczelni. Tak to też widzę. Mój związek z Uniwersytetem Warszawskim i z intelektualnym środowiskiem Warszawy był dla mnie zawsze bardzo ważny i bardzo wiele z niego skorzystałem, by wspomnieć przyjaźnie z ludźmi nie żyjącymi już dzisiaj profesor Janiną Zakrzewską czy – z innych wydziałów -Tadeuszem Łebkowskim i Janem Strzeleckim. Ogromnie wiele w swym życiu skorzystałem z kontaktów ze środowiskiem intelektualnym Uniwersytetu i środowiskiem intelektualnym Warszawy i jest dla mnie wielkim zaszczytem ten powrót do Uniwersytetu. To zaś co Pan Promotor i Pan Dziekan byli łaskawi podkreślić, że Opatrzność czy historia postawiła mnie w obliczu wielkich, odpowiedzialnych *zadań* – było trudne, było ważne, było wielkie – ale dawało też i wielkie poczucie satysfakcji, udziału w kształtowaniu historii. Dziękuję więc za uznanie tego mojego udziału i za zaszczytne wyróżnienie, którym Uniwersytet mnie tym doktoratem odznaczył.

Dziękuję serdecznie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej za zaszczytowanie tej uroczystości i za stosunek do mnie.

Dziękuję Panu Marszałkowi Senatu i Panom Wicemarszałkom Sejmu i Senatu za obecność.

Dziękuję Panu Premierowi Jerzemu Buzkowi, Ministrowi Spraw Zagranicznych Włodzimierzowi Cimoszewiczowi i pozostałym członkom rządu, a także ministrom Kancelarii Prezydenta RP za obecność na uroczystości.

Dziękuję Księdzu Arcybiskupowi Nuncjuszowi i na jego ręce składam podziękowanie tu obecnym członkom korpusu dyplomatycznego.

Dziękuję moim przyjaciołom księżom biskupom Bronisławowi Dębowskiemu i Alojzemu Orszulikowi, a także – ekumenicznie -księdzu biskupowi Zdzisławowi Trandzie za obecność. Dziękuję panu prezesowi Polskiej Akademii Nauk, rektorom i prorektorom Uczelni, prezesom Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, senatorom, posłom obecnym i byłym. Dziękuję współpracownikom moim, członkom mego rządu, a także moim współpracownikom i przyjaciołom z „Więzi”, „Tygodnika Powszechnego”, „Tygodnika Solidarność”. Dziękuję dyrektorowi mego Liceum im. Stanisława Małachowskiego w Płocku, a także kolegom. Dziękuję obecnym tu studentom. Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna. Dziękuję i cieszę się także, że towarzyszy mi tu moja rodzina, moi synowie, synowe, wnuczki i wnuki. Chciałbym, aby z tej uroczystości wynieśli oni i wszyscy młodzi poczucie dostojeństwa, jakim cieszy się zawsze Uniwersytet. Poczucie dostojeństwa tego Uniwersytetu nie tylko jako swego rodzaju zakładu produkcyjnego, kształcącego ludzi kwalifikowanych, ale jako wspólnoty, w której rozwija się inteligencję człowieka i wprowadza w mądrość. I tego rozwijania inteligencji i wprowadzania młodych w mądrość, Magnificencjo, ten świeżo upieczony doktor honoris causa Uniwersytetowi *życzy*.

„Kim jesteś obywatelu?”

Wykład wygłoszony 12 czerwca 2003 r. podczas uroczystego nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego

Zwyczajem towarzyszącym uroczystości nadania doktoratu honorowego jest wygłoszenie przez obdarowanego tym tytułem wykładu wobec społeczności akademickiej, która go do swego grona przyjmuje. Nie chciałem się od tego obowiązku uchylać. Jako temat moich rozważań postanowiłem wziąć pojęcie obywatela, albo raczej sensu wartości, którą można by określić słowem „obywatelskość”.

Kim jest i kim może być obywatel? Historyk odpowiadając na to pytanie sięgnąłby najpierw do demokracji ateńskiej, następnie do pojęcia „civis Romanus”, a potem zastanowiłby się nad odróżnieniem pojęć obywatela i poddanego. Nad doniosłym znaczeniem aktów takich jak „Habeas corpus” w Anglii czy „Neminem captivabimus” w Polsce, nad wyłanianiem się w historii obywatelskości z pewnej jakby pre-obywatelskości. Aż doszedłby do deklaracji praw człowieka i obywatela i do tego jak i kiedy stała się ona naprawdę powszechna.

Wywód taki byłby z pewnością znakomitą podstawą do odpowiedzi na pytanie czym jest i co znaczyło w różnych fazach swego rozwoju pojęcie obywatel. A także jakie były w różnych czasach obywatelskie cnoty i obywatelskie przywary oraz zacieśnienia i rozszerzenia praw i warunków bycia obywatelem.

Nie mam możliwości przeprowadzenia takiego wywodu, który wymaga i wiedzy i talentu polihistoryka, choćby amatora, i nie będę nawet usiłował tego czynić. Chcę natomiast znacznie skromniej zakreślić odwołanie się do historii i mówić o historii tej najbliższej, którą przeżywalismy. Mam na myśli tworzenie społeczeństwa obywatelskiego w opozycji do oficjalnych struktur przed 1989 rokiem.

Przebiegało to w różnych formach legalnych, półlegalnych i całkiem nielegalnych, aż wreszcie zaowocowało powstaniem „Solidarności”, która od początku łączyła charakter związku zawodowego z ruchem obywatelskim. Było dziedzictwem wcześniejszego oporu i wydarzeń takich jak Październik 1956, Marzec 1968, Grudzień 1970, strajki radomskie i ursuskie 1976 roku aż po lipiec lubelski i Sierpień 1980 na Wybrzeżu. Było wynikiem znaczenia Kościoła, który, zwłaszcza ustami Prymasa Stefana Wyszyńskiego, wypowiadał się za naród i bronił jego niezależności i godności człowieka. Było też owocem toczzonej w polskiej kulturze gry o większą niezależność. A także utrzymania się indywidualnej własności chłopskiej na wsi.

W węższym wszakże znaczeniu powstawanie społeczeństwa obywatelskiego jako społeczeństwa alternatywnego to czas organizowania się i czas decyzji wykraczania poza to, co dozwolone.

W każdym środowisku musiało to dojrzewać. I w każdym na początku musiała być myśl. Wspomnę środowisko mi najbliższe – „Więź”. W latach sześćdziesiątych zaczęliśmy mówić o podmiotowości społeczeństwa. Później to pojęcie weszło do szerszego obiegu, a znaczyło tyle, co przeciwstawienie się uprzedmiotowieniu społeczeństwa. Traktowaniu społeczeństwa przez władzę jako przedmiotu, na którym jej oddziaływanie ma się odciskać, a nie jako podmiotu życia publicznego. Podmiotowość była synonimem obywatelskości.

Konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość” (DiP) tolerowane na półlegalnej stopie było eksperckim wyzwaniem przeciwstawionym oficjalnej bezradności myślowej. Przełomem stało się oczywiście powstanie KOR (Komitet Obrony Robotników). Cała złożona opozycja demokratyczna, KPN, Ruch Młodej Polski i inne inicjatywy polityczne i intelektualne, wszystko to należy do historii tamtego czasu. Najbardziej wszakże charakterystyczne dla organizowania alternatywnych struktur wydają się dwa zjawiska: wydawnictwa ukazujące się poza obiegiem cenzury oraz powstanie i działalność TKN (Towarzystwa Kursów Naukowych).

Wszystko to ma już swoją, doskonałą zresztą, literaturę historyczną, a nawiązałem do tego czasu nie po to by go wspominać z nostalgią, lecz by uprzytomnić sobie i nam, że wraz z przełomem 1989 roku problem społeczeństwa obywatelskiego nabrał innego charakteru. W warunkach respektowania wolności i praw obywatelskich przeciwstawianie społeczeństwa obywatelskiego państwu demokratycznemu stało się pozbawione podstaw. Społeczeństwo obywatelskie przestaje być propozycją alternatywną, staje się natomiast ważną i integralną częścią budowy demokratycznego ładu.

W potocznym ujęciu utożsamia się dziś najczęściej to pojęcie z organizacjami pozarządowymi, które stanowią z pewnością istotny obywatelski składnik życia społecznego.

W rozumieniu działaczy samorządowych, także samorząd terytorialny, mimo, iż jest niewątpliwie istotnym składnikiem organizacji państwa, wyposażonym we władcze uprawnienia, pozostaje także wyrazem społeczeństwa obywatelskiego. Zastanawiając się nad zasadą społeczeństwa obywatelskiego, jako jedną z zasad, na których opiera się obecna Konstytucja pisze prof. Leszek Garlicki: „Społeczeństwo obywatelskie to społeczeństwo pluralistyczne, w którym każdy ma możliwość działania w wybranych przez siebie organizacjach i strukturach służących realizacji jego podmiotowości jako obywatela, pracownika czy mieszkańca.”

W czasie prac nad Konstytucją, w których uczestniczyłem, uderzyła mnie w pewnym momencie dysproporcja pomiędzy tym jak wiele czasu poświęciliśmy debacie o wolnościach i prawach człowieka i obywatela, a jak szybko, bodaj na jednym posiedzeniu, uporaliśmy się z krótką częścią tego samego rozdziału zatytułowaną „Obowiązki”. Podczas gdy zasady ogólne, wolności i prawa osobiste, wolności i prawa polityczne, ekonomiczne, socjalne i kulturalne oraz środki ochrony tych wolności i praw wyrażone są w sumie w pięćdziesięciu jeden artykułach – obowiązki ujęte są w pięciu artykułach. Obok zasad ogólnych: obowiązku wierności Rzeczpospolitej, poszanowania prawa i troski o dobro wspólne są to tradycyjnie ujęte obowiązki płacenia podatków oraz stosunku do służby wojskowej, do których dołączono bardziej już nowoczesnego pochodzenia obowiązek poszanowania środowiska naturalnego. Choć tak krótko ujęte nie są to oczywiście obowiązki błahe.

Każdy konstytucjonalista łatwo wyjaśni też tę jakby dysproporcję między artykułami regulującymi wolności i prawa obywatelskie a artykułami ujmującymi obowiązki w normy prawne. Szczegółowe bowiem uregulowanie przez prawo tego co obywatel ma robić, aby być dobrym obywatelem równałoby się, w oparciu o całe doświadczenia historyczne, otwieraniu pola do ingerencji w wolności i prawa obywatelskie.

Akty konstytucyjne monarchii absolutnych były formą oktrojowania prawa na rzecz poddanych. Absolutne zaś państwa współcze-

sne XX wieku wychodziły w istocie *rzeczy z założenia*, że wolności i prawa obywatelskie pochodzą z nadania państwa oraz że od władzy *zależą* a obywatel powinien o tym wiedzieć. Można było ten system rozluźniać czy zacieśniać, ale istota tej aksjologii pozostawała ta sama.

„Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych” – stanowi nasza Konstytucja z 1997 roku w artykule 30. otwierającym rozdział o prawach i obowiązkach człowieka i obywatela. Mimo krytyk, jakim jej projekt był poddany, to odniesienie do przyrodzonej i niezbywalnej godności człowieka stanowi mocny fundament jej aksjologii. Można zresztą uznać to za współczesną formę odniesienia się do prawa naturalnego.

Również artykuł 1. Konstytucji jest fundamentalny dla jej aksjologii. Stanowi on, że „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”. Jeżeli połączyć oba te postanowienia artykułu trzydziestego i pierwszego widzieć w nich można zasady odpowiadające personalistycznemu ujęciu stosunku państwo – obywatel. Oto bowiem wolna i nienaruszalna w swej godności osoba ludzka jest również powołana do uczestnictwa, współtworzenia i współodpowiedzialności. Stanowią o tym zwłaszcza te postanowienia Konstytucji, które dotyczą wolności i praw obywatelskich. Można pośród nich odróżnić te, które stanowią ochronę praw osobistych oraz te, które stwarzają warunki do uczestnictwa w życiu publicznym na różnych szczeblach narodowej i państwowej wspólnoty.

Każda demokratyczna konstytucja zakłada również coś więcej. Przyjmuje bowiem, że prawo nie jest jedynym ani wyłącznym regulatorem postępowania człowieka i kształtowania życia społecznego, w tym również funkcjonowania państwa. Przed prawem i obok niego jest etyka. Także, a może przede wszystkim, ona – poprzez wychowanie, rodzinę, szkoły, Kościoły i różnego rodzaju wspólnoty oraz opinię publiczną – kształtuje to poczucie obywatelskości.

A przynajmniej czynić to powinna wyznaczając standardy, które obowiązywać mają w życiu publicznym.

Wolność – wiemy to dziś wszyscy – okazała się trudniejsza do zagospodarowania niż myśleliśmy w czasach walki o nią. Często też wartość odzyskanej wolności nie okazała się w społeczeństwie tak wielka, jak odczucie ponoszonych trudności. Utożsamianie się obywatela z państwem, już od 14 lat wolnym i własnym, pozostaje wciąż problemem. Życie publiczne przyprawia często o ból głowy i rodzi niepokój.

Użyłem niedawno w jednej ze swych publicznych wypowiedzi określenia, że coraz bardziej stajemy się elektoratem a coraz mniej jesteśmy obywatelami. Miałem na myśli to, że społeczeństwo coraz bardziej jest dla podmiotów politycznych jedynie elektoratem, do którego raz na cztery lata trzeba się odwoływać i którego preferencje i opinie wyrażane w sondażach trzeba pilnie obserwować. Przy złym zaś funkcjonowaniu wielu instytucji obywatele stają się bezsilni wobec traktowania państwa przez te podmioty jako własności przechodniej, a nie jako dobra wspólnego.

Demokracja nigdzie, nawet w krajach, w których jest najbardziej utrwalona, nie powoduje powszechnego uczestnictwa w życiu publicznym. W jakim stopniu jednak jest to nieuchronne we współczesnej cywilizacji, na ile zaś stanowi wyraz niedorozwoju, bądź trawiących społeczeństwo i państwo chorób – to pytanie, które warto sobie zadać. Czy jednak jeśli jest źle, jeśli ludzie odwracają się od zainteresowania życiem publicznym, nie należy wracać do pojęć najbardziej elementarnych i również tam, niejako u źródeł, szukać wskazówek dla odrodzenia. To właśnie było moją intencją przypomnienia tej wartości, jaką stanowi poczucie obywatelskości, bez którego poszanowania i rozwijania zdrowe życie państwa nie może się obyć.

* * *

Niniejsza książka zawiera wystąpienia prezentowane na konferencji a ponadto tekst R. Graczyka opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” 18 kwietnia 2007 oraz tekst laudacji na cześć Tadeusza Mazowieckiego w związku z przyznaniem Mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego i wykład Doktora Honorowego Tadeusza Mazowieckiego „Kim jesteś obywatelu” ? Uroczystość nadania doktoratu honorowego miała miejsce dnia czerwca 2003 r. Redaktor wyraża podziękowanie p. Romanowi Graczykowi i redakcji „Tygodnika Powszechnego” oraz Rektorowi Uniwersytetu Warszawskiego za możliwość zamieszczenia w książce wspomnianych tekstów.

Informacja o autorach

Jerzy Ciemniewski – doktor habilitowany nauk prawnych, docent w Instytucie Nauk Prawnych PAN, sędzia Trybunału Konstytucyjnego

Andrzej Friszke – doktor habilitowany nauk historycznych, docent w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykładowca Collegium Civitas.

Roman Graczyk – redaktor „Tygodnika Powszechnego”, autor wielu publikacji na tematy ustrojowe i społeczne, w tym książki „Konstytucja dla Polski”, Znak 1997

Aleksander Hall – doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, polityk, minister ds. współpracy z organizacjami politycznymi i stowarzyszeniami w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, poseł na Sejm I i III kadencji.

Roman Wieruszewski – doktor habilitowany nauk prawnych, docent w Instytucie Nauk Prawnych PAN, profesor Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu.

Miroslaw Wyrzykowski – profesor Uniwersytetu Warszawskiego, doktor habilitowany, kierownik Zakładu Praw Człowieka Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, sędzia Trybunału Konstytucyjnego.